3

25 L.



mała KRONIKA



 mal. Leon Wyczółkowski

P O Ł Ó W

MAŁA KRONIKA

DWUTYGODNIK
NR. 3 3 LUTY 1946 R. ROK I.

POZNAJMY INNYCH

Największą przeszkodę na drodze do swobodnej wymiany myśli między członkami różnych narodowości stanowi brak wspólnego języka. Powoduje to niemożliwość zrozumienia zapatrywań na przeróżne zjawiska życia, powoduje powstawanie sądów postronnych, w którym nader chętnie bierze się skutki za przyczyny i zamiast kierować się w ocenie obiektywnym spojrzeniem na rzeczywistość, opiera się ją na całym szeregu narastających powoli uprzedzeń i przesądów.

Brak wspólnego języka między poszczególnymi narodami nie jest wyłącznie zjawiskiem językowym. Nie chodzi tu o techniczną trudność zrozumienia słów o obcym dźwięku i zdań o odmiennej budowie. Chodzi tu o coś bardziej poważnego i leżącego głębiej. Brak wspólnego języka, w odniesieniu do stosunków między różnymi narodami, kryje w sobie wzajemną nieznajomość psychiki, nieznajomość poglądów i sposobu rozumienia pojęć. Z tego płynie odmienny sposób wartościowania tych samych rzeczy, przywiązywanie różnych zupełnie treści do tych samych zjawisk. Najżywszym bodaj w czasach współczesnych przykładem braku wspólnego języka jest sławny dziś ,,spór o demokrację". Zachód i Wschód, — ustrój oparty na wolności człowieka i ustrój oparty na niewoli, — używają tego samego hasła, operują tym samym słowem, pokrywając nim zupełnie inny stan rzeczy.

Ów brak wspólnego języka, wspólnego sposobu wyrażania myśli — jest, krótko mówiąc, wyrazem nierozumienia się poszczególnych narodów, i to zarówno gdy chodzi o narody jako całość, jak i o poszczególnych ich członków. Dzięki niemu stosunki między ludźmi układają się po linii wzajemnej obcości, która rodzi nieufność. Coś co jest obce, coś co jest niezrozumiałe, z jednej strony pociąga, z drugiej

zaś odpycha; pociągając rodzi ciekawość i chęć poznania — odpychając każe się mieć na baczności, rodzi uprzedzenie, a przede wszystkim wyklucza szczerość we wzajemnym stosunku.

Nieznajomość innych narodów prowadzi do nieporozumień. Nieporozumienia te niekoniecznie muszą doprowadzić do stosunku otwartej wrogości, zawsze jednak stają na przeszkodzie współpracy: trudno mówić o porozumieniu, o wzajemnym uczeniu się jednych od drugich, skoro stale zachodzić będzie zjawisko braku wspólnego języka, skoro stale sądzić się będzie zwyczaje, zalety i wady innych na podstawie uprzedzeń, zalet i wad własnych.

Stworzyć ów wspólny język, płaszczyznę wspólnego porozumienia można tylko przez badanie zjawisk życia innego narodu, przez poznanie zwyczajów, psychiki i codziennego trybu życia. Sądzić o innych narodach tylko na podstawie politycznej strony ich życia jest równoznaczne z trwaniem w błędzie na zawsze.

Ostatnia wojna zbliżyła do siebie dwa narody, dotychczas bardzo daleko od siebie stojące: naród Polski i Angielski. Zbliżyła w sposób mechaniczny. Wojna nie jest dobrym okresem dla poznania właściwego obrazu życia jakiegokolwiek kraju, kraj ten bowiem żyje wówczas w atmosferze nienormalnej — palące potrzeby chwili przesłaniają zwykłe nawyki i przyzwyczajenia ludzi. W dalszym ciągu zatem sąd przeciętnego Polaka o Anglii i Amerykanach opiera się na obserwacjach powierzchownych i na uprzedzeniach zakorzenionych od lat. Brak zaś znajomości i zrozumienia życia Anglii nie pozwala ciągle na otrząśnięcie się z wrażenia, że Anglicy są narodem dziwaków, życie zaś Anglii jest jednym wielkim splotem najdziwaczniejszych paradoksów.

Pogląd ten zresztą nie jest monopolem Polaków. Podziela go niemal każdy przeciętny Europejczyk, nawet jeśli należy do narodu, którego losy silnie z losami Anglii zostały sprzężone na skutek chociażby tylko bliskości położenia geograficznego. Słusznie też Andre Maurois, najlepszy bodaj znawca Anglii na kontynencie, nazywa ją „wyspą nieznaną”.

Ciekawe to zjawisko świata współczesnego, że o narodzie, którego wkład w przejawy dzisiejszej kultury jest tak duży, wie się tak mało, przy czym wiadomość konkretną zastępuje najczęściej anegdota.

A przecież życie całego świata cywilizowanego przepojone jest ,,angielskością", czy to w formie bezpośrednich wpływów Anglii, czy też w formie całego szeregu kulturalnych ,,amerykanizmów", których źródło leży również w Anglii. Od koncepcji ustrojowych, poprzez sport, zwyczaje towarzyskie, obyczaje bandlowe, literaturę, film aż do całego szeregu drobnych i wielkich wynalazków technicznych, — życie współczesngo człowieka pozostaje pod przemożnym wpływem angielskiej myśli i kultury.

Z tym wszystkim Anglia pozostaje krajem nieznanym, a Anglicy nieznanym narodem Przykładamy do nich stale miarę własną i stale narażamy się na zdumienie.

Zastanówmy się przez chwilę nad tym, gdzie leży najpierwsze źródło nieporozumień. Odpowiedź bardzo ogólna brzmieć, oczywiście, będzie: w odmiennych czynnikach, naturalnych i duchowych, które kształtowały i kształtują angielski charakter narodowy. Odpowiedź to bezsprzecznie słuszna, niewiele jednak pomaga w życiu praktycznym. Pomóc by mogła jedynie wtedy, gdyby poprzedzały ją głębokie studia historyczne i socjologiczne, które by nas z owymi czynnikami zapoznały i pozwoliły na wyciągnięcie porównań z charakterem własnym, Studia te są celowe i pożyteczne: może by jednak warto było znaleźć jakiś punkt wyjścia, uchwycić najbardziej typową cechę narodową angielską, która by jasno postawiła sprawę ich duchowej odrębności i pozwoliła na ocenę ich myśli i czynów z tego właśnie punktu widzenia.

Cechą taką jest angielska niechęć do teoretyzowania I to na każdym polu, czy to w życiu politycznym czy w codziennym, czy nawet w nauce. Niechęć w stosunku do teorii rodzi dalej niechęć do stwarzania z góry planów, co do których nie wiadomo, czy się dadzą zrealizować, i zasad, co do których nie wiadomo, czy okażą się słuszne.

Anglik zastępuje to co my nazywamy logiką, czy konsekwencją postępowania, po prostu zdrowym rozsądkiem, owym ,,common sense", który każe mu widzieć życie, nie takim jakie w naszym mniemaniu być powinno, lecz takim jakie w rzeczywistości. To stanowisko nakazuje mu unikać kompromisu gdzie tylko się da, i chwytać się środków radykalnych przy których trzeba stać już całym wysiłkiem woli i uporu — wtedy gdy kompromis okazuje się niemożliwy. Wojna ostatnia przeciwko totalizmowi niemieckiemu jest

tego dowodem najlepszym. Bezplanowość? Brak logiki? Ale przecież cała historia Anglii, historia wspaniałego rozwoju gospodarczego, powolne lecz uporczywe dźwiganie gmachu Brytyjskiego Imperium — zdają się świadczyć o czymś przeciwnym. Na pozór tak jest, ale tylko na pozór. Już Disraeli, a za nim szereg angielskich mężów stanu, ze zdrowym humorem stwierdziło, że i Imperium i potęga gospodarcza narodu angielskiego to dzieło przypadku, dzieło wysiłku poszczególnych ludzi, któremu na szczęście nie zdołała słaba biurokracja postawić tamy Kierowali się Anglicy w swym postępowaniu przede wszystkim naiwną oceną rzeczywistości a po wtóre zaufaniem do ludzi To zaufanie, które jest podstawą angielskiego ustroju i systemu społecznego, praworządności, lepszą niż wszystkie kodeksy i nie kończące się szeregi ustaw i przepisów, sprawiało, że w kraju w którym niczego nie ceni się więcej od osobistej wolności, pozostawiono ludziom, mającym inicjatywę i energię wolną rękę w wypadkach, gdy nigdzie indziej pozostawienie wolnej ręki byłoby nie do pomyślenia.

Weźmy przykład niezbyt odległy. W końcu zeszłego stulecia Lord Kitchener rozbija powstanie fanatyków Mahdiego w Sudanie. Wytwarza się sytuacja w której stawką jest Egipt, opanowanie Kanału Sueskiego, słowem budowa „kręgosłupa imperium". Każdy fałszywy krok może grozić wojną z Francją, utratą Egiptu, rozerwaniem imperium na dwie części. Lord Kitchener zwraca się po instrukcje do rządu i otrzymuje depeszę następującej treści: „postępuj pan tak, jak panu podyktuje dobro W. Brytanii i osobiste przekonanie." Kitchenerowi to wystarczyło. Podobne instrukcje musiały nieraz wystarczyć i innym „budowniczym imperium".

Nie znosi Anglik przesady i zasady dla zasady. Dziś jesteśmy świadkami jak Anglik rezygnuje z liberalizmu, który dał mu potęgę, i godzi się na oddanie przewodnictwa w świecie anglosaskim Ameryce. Dziwi się temu świat cały, — nie dziwią się tylko Anglicy. „Życie poszło naprzód, trzeba się z tym pogodzić i szukać nowych możliwości twórczej pracy". Całemu światu grozić może zagłada, wobec której pretensje i ambicje angielskie są niczym, — Anglicy to rozumieją i gotowi są zrezygnować ze wszystkiego, co mogłoby dla zachowania pozorów własnej wielkości narazić kulturę świata chrześcijańskiego. *P. Herwarth — Jones*.

CAFE GRECO

Niejaki imćpan Kulczycki, uczestnik wyprawy Jana III Sobieskiego pod Wiedeń, postąpił bardzo roztropnie, gdy przyszło dzielić zdobyty obóz turecki między zwycięzców. Bo podczas gdy król zadowolił się tylko wielk chorągwi Proroka i kilku pomniejszymi, by je potem ofiarować papieżowi Inocentemu XI, za co — ku uczczeniu glorii wiedeńskiej — zbudowano świ tynię przy Forum Trajana w Rzymie, i podczas gdy inni znamienitsi rycerze i kawalerowie, i towarzysze pancerni zabierali co się tylko dało, a więc uprzęże, namioty, dukaty i nawet ten srebrny poślad, to imćpan Kulczycki upatrzył sobie zdobyczne wory z kaw . I mając widocznie głowę do interesów, założył kawiarnę w Wiedniu, pierwsz bez ochyby na chrześcijańskim kontynencie. Działo się to wszystko w roku 1683. Jak on tamt kawę gotował i czy smakowała pludrom wiedeńskim, kroniki o tym nie wspominają.

W ślad za imćpanem Kulczyckim poszedł jakiś chytry Greczyn o zitalizowanym nazwisku, Nicola di Madalena, który w 80 lat bez mała później, bo w roku 1760 ufundował kawiarnę w Rzymie przy dzisiejszej via Condotti, za Pontyfikatu Klemensa XII, by warzyć kawę braci artystycznej, kudłatym synom Apollina, znajdującym dotychczas przytułek w sąsiedniej Trattorii della Barcaccia.

O losach kawiarni Kulczyckiego w Wiedniu nic nie wiemy, za to wiemy dużo o kawiarni Greka Nicoli w Rzymie. W czepku się widać urodził, gdyż jego kawiarnia rychło zasłynęła nie tylko w Rzymie, lecz na całym ówczesnym Zachodzie, i kto tylko przybył do Wieczenego Miasta, czy to w nabożnej pielgrzymce, czy też dla zadokumentowania swej wielkiej miłości do sztuki — nie omieszkał wstępować do Camxd-_w_ cmfwyp vbgkńj şhrdlu vbgkńj sshcmfm kawiarenka przemieniła się z czasem w kawiarnię, a z dniem każdym w jej progi wstępowali i za stołami gwarzyli nie tylko ludzie szarzy, bez znaczniejszej kondycji artystycznej, lecz tacy luminarze, jak Leopardi, Canova, Byron, Shelley, Thornwaldsen, Mark Twain, Gogol, Wagner, Stendhal, Gounod, Bizet, Goethe, Schopenhauer, Liszt i miły Bóg raczy wiedzieć kto jeszcze. W ogóle do Cafe Greco goście wchodzili drzwiami i oknami, a Greczyn Nicola, i potem jego następca Gubinelli, rodzony już Italczyk, zacierali ręce i składali dukaty do skórzanego woreczka pod poduszką. Bo wiadomo, za „gwiazdorami" j ł się wpychać szary tłum snobów — honor to przecież wielki, niepośledn a estyma u zazdrosnych współrodaków w dalekim kraju, gdy można się przed nimi pochwalić, że piło się

kawę jeżeli już nie z Byronem czy Schopenhauerem, to przynajmniej siedziało się na tym samym miejscu, na którym oni kiedyś siedzieli. I stąd też nie dziwi nas wcale taki zachwyt w „Księdze gości", gdzie wśród tysiąca, tysiąca innych pisze pani Jadwiga z Warszawy:

„Byłam tutaj z mężem, wracając z kuracji w Monteofini. Słyszałam zawsze dużo o bardzo ciekawej kawiarni artystycznej Caffe Greco, gdzie dużo sławnych ludzi przyjeżdżało i spędzało tutaj miłe chwile".

Jej mąż zaś pan Kazimierz, człowiek—widać—pokornego serca, dopisuje się pod autografem pani małżonki:

„Jakkolwiek nie jestem sławnym człowiekiem ani artystą, jednak na prośbę żony wpisuje się na wieczny pamiątkę wobec miłych chwil spędzonych tu".

Ostatecznie to jeszcze nie powód, by się roztkliwiać nad tym, że tam tylu sławnych ludzi „przyjeżdżało i spędzało miłe chwile". Wprawdzie taki Byron czy Gogol, czy Ludwik król bawarski, to przecież nie ulęgałki, lecz ostatecznie w samym Rzymie można znaleźć jeszcze większe imiona, począwszy od cezarów rzymskich poprzez papieży do Michałów Aniołów, Rafaelów i Berninich, którym taki król bawarski niegodzien rzemyka u butów rozwiązać. Rzecz w tym dla nas najważniejsza, że w Caffe Greco przesiadywał Adam Mickiewicz.

Mało poczesne miejsce zajmuje on w Caffe Greco, bo rozpychają się w niej szeroko łokciami i Wagner, i Gogol, i Liszt, i inni o nazwiskach takich, że przeciętnemu śmiertelnikowi w głowie się mąci, gdy je czyta po ścianach, na obrazach lub w zapiskach właściciela. Właściciel zaś notował je skrzętnie, gdyż bywali mu winni za kawę, spijaną na kredyt, za co najwyżej zostawili mu obraz na ścianie, jakiś posążek mniejszy lub większy, lub przynajmniej srogi autograf w papierzyskach.

Niepoczesne więc miejsce zajmuje nasz Mickiewicz w tłumie tamtych „gwiazdorów", aczkolwiek poczciwy Okuń zmajstrował jego portret, zawiesił na ścianie, i aczkolwiek ktoś inny wetknął mały jego portrecik, zwykłą pocztówkę, za ramę, gdzie już puszą się listy, autografy i wizerunki jego obcojęzycznych konfratrów, i aczkolwiek skromni się na ścianie niewielki sztych ze wspaniałą głową Adama, ufundowany przez karmazyna polskiego.

Wchodzisz dzisiaj do Caffe Greco i z miejsca ogarnia cię wzruszenie. Więc to tutaj przesiadywał Mickiewicz ze swymi przyjaciółmi?...

Właściciel kawiarni, ogromnie miły człowiek o figlarnej bródce Fauna, parający się liczeniem filiżanek kawy i tworzeniem prześlicznych miniatur, opowiada, że właśnie tutaj przesiadywał Mickiewicz. I wnet wstaje spoza swego kontuaru, wyciąga mocno sfatygowane „Księgi gości", pokazuje podpisy o wiele późniejszych polskich gości, pokazuje konterfekt Wielkiego Adama, wykonany z większą miłością aniżeli umiejętnością przez poczciwego Edwarda Okunia, pokazuje pocztówkę za ramką, skromny sztych ufundowany przez polskiego karmazyna, cmoka z zachwytu, zaciera dłonie i widać — rad by nieba przychylić polskiemu człowiekowi za to, że tu kiedyś bywał, ein grosser polnischer Dichter, ein sehr grosser Dichter, Adam Mickiewicz... Po niemiecku bowiem gada z tym, kto słaby w języku włoskim, sumitując się pokornie,, iż on wprawdzie Italczykiem, ale matka jego była Niemką.

— A kto jeszcze? — pyta wzruszony polski człowiek.

Kto jeszcze? Tego już nie wie! Dużo ich tu bywało, bardzo dużo, lecz nazwiska takie, że trudno mu je i zapamiętać i wypowiedzieć. Powiada, że byli malarze i filozofowie, poeci i rzeźbiarze, grafowie i żołnierze, tacy i owacy, a wszyscy przychodzą i dopytują się o Mickiewicza. A gdzie, a kiedy, a jak, a z kim?... On wtedy pokazuje „Księgi gości". Szukajcie sami!... I szukają!... A każdy szukający przeczyta z uradowaniem jakieś polskie nazwisko, kojarzące się ze sztuką i poezją, a potem najczęściej sam dopisze kilka słów, umieści podpis o ile możności nieczytelny, a jeżeli czytelny, to ze srogim zawijasem — i odchodzi.

Tom „Księgi gości", zapoczątkowany przed pierwszą wojną światową, zaczyna Edward Okuń uwagą, że od roku 1899 uczęszcza do Caffe Greco i że „wraz z innymi artystami polskimi założył skromną czytelnię w tymto lokalu". Potem pojawiają się Stykowie. A więc stary Jan i młodzi Tadeusz i Adam, w towarzystwie śpiewaczki Marii Wróblewskiej z Warszawy. Pan Jan Styka pisze dla potomnych, że „lat temu 30, jak schodzili się tutaj często Stankiewicz i Cieszkowski, Siemiradzki i Weloński, Krudowski i Mierzycki, i wielu, wielu innych w przejeździe tylko. Było im czasem ciepło w tym kółku bratnim i goiło się tęsknotę za krajem u tych, którzy na tej ziemi rzymskiej bawić musieli".

Za Stykami, Okuniem i wielu innymi pęta się niemrawie po „Księdze gości" jakiś narwany obywatel, Roman Kornecki, dopisujący do nazwiska raz „Conte", innym razem francuskie „de", jeszcze innym razem „Graf von", by w końcu zaświecić w oczy pols-

kim „hrabią". Wymądrza się biedaczyna haniebnie na kartach, wypisuje jakieś niesłychanie wzniosłe sentencje, ściągane z Mariańskiego Kalendarza, błaźni się i kompromituje swój ród szlachetny.

Odpędza człowiek od siebie tego wartogłowa, Filipa z Konopi. i szuka dalej. I znów spotyka wśród powodzi podpisów, sentencji, wierszy, uwag i czasem bzdurstw we wszystkich językach świata, jakiś prześliczny dwuwiersz polski, jakieś wzniosłe westchnienie, czyjeś wzruszenie najcichsze, wypisane częstokroć niezdarnymi kulasami, czasem piórem twardym, a przywykłym raczej do szabli czy karabina. Pojawi się potem jakiś dr Antonio Menotti Corvi, pisząc po polsku, że pierwszy raz znalazł się w Caffe Greco jako żołnierz pułku kawalerii „Lanzierii di Firenze". Za nim postępuje strzelec I Armii Polskiej we Francji, pan Fill z Warszawy nad Wisłą — jak dodaje przezornie, potem jakiś porucznik Lugiu z „okopów Monastyrskich", za nim drobnym maczkiem drobi Pani Wanda de Sendzikowski z Petersburga, wchodzi z dumą Maciej Romer z żoną i dr Jerzy Rogosiński, a wszędzie koło nich pęta się hrabia Roman i pisze ni w pięć ni w dziewięć takie na przykład spostrzeżenia: „Dobra była czekolada! Graf von Kornacki". Irytuje łajdak swoją wścibską obecnością między tamtymi nazwiskami, aż w końcu pojawi się znowu pod czyimś polskim podpisem, wyskoczy na kartę jak arlekin, przedstawi się, że jest teraz Romanem conte Kornackim, przedstawi swoją narzeczoną, jakąś Fanny Ginzburg, i tu się kończy jego błazenkowanie.

Widać, ożenił się jednakże z ową Fanny i ona zakazała mu wpisywać się do „Księgi gości". Mądra kobieta!...

Mnożą się podpisy, mnożą się sentencje, jedne takie, inne zaś owakie, lecz u wszystkich prawie wciąż Mickiewicz wyziera z serca, i radość, że każdy z nich na tym samym zydelku siedzi, co ongi Wielki Adam, i że może nawet z tej samej filiżanki chlipie czarną kawę, z której ongi pijał Mickiewicz.

Wśród tego olbrzymiego tłumu, jaki przeszedł przez Caffe Greco, pojawiają się i Niemcy. Lecz co który z nich napisze jakąś bombastyczną sentencję, zaopatrzy ją ktoś inny w złośliwą uwagę. Uwagi są dopisywane w języku niemieckim i włoskim, czasem po francusku a raz po angielsku.

W miarę zbliżania się roku 1939, temperatura sentencji różnojęzycznych wzrasta i wzrasta, przemienia się w gorączkę, w pasję, w coraz gwałtowniejsze wymyślania Niemcom, wypisującym wiersze na cześć Hitlera lub zapowiadającym wielkość Niemiec „von der

Etsch bis an die Memel! („so sichst du aus, du Affe!" — głosi dopisek).

Już zagubił się na poprzednich kartach i Cyprian Kamil Norwid „pittore e poeta polacco", zagubił się artysta malarz Feliks Wygrzywalski, zaprzepaściła się nawet Panna Hanka z Warszawy, która „myśli i myśli i nic m dręgo nie wymyśli" — jak szczerze przyznaje i co zaświadcza swym panieńskiem podpisem. Ludzie coraz mocniej gadaj wierszami tak bardzo walecznymi, że lęk ogarnia, zapominają o tamtych wielkich, co porozsiadali się po kątach kawiarni, Polacy zapominają potroszę nawet o Mickiewiczu, a wszyscy przygotowują s ę na wojnę. Potem nagle wszystko milknie. Polaków nie ma, nie ma żadnych nacji walczących po stronie koalicji, a s tylko Italowie, Japończyki i przede wszystkim Niemcy. Pod koniec wplata się chyłkiem zuchwała uwaga polska: „W oczekiwaniu na naszych przyjaciół Anglo-Amerykanów, którzy poprzez długoletni dzisiejszą wojnę dadzą światu wolność i dobrobyt, a naszej Ojczyźnie wielkość i niepodległość, liczymy dni, dziel ce nas do wejścia ich do Rzymu. Dni tych pozostało bardzo niewiele". Następuje podpis i data 2.IX.1943. A pod tym wszystkim jeszcze dopisek inną ręką: „Ostatnie dni barbarzyństwa w Rzymie!"

Potem znowu wszystko się urywa, znikaj Niemcy i Japończyki, na placu pozostaj Italowie, a na karty „Księgi gości" tłoczą się teraz z wielkim zgiełkiem i rozpychaniem przeróżni Amerykanie z całego świata, dystyngowani Anglicy, wytworni Francuzi i goryczą zaprawieni Polacy. Pomiędzy nimi przeplata się czasem jakiś Muzułmanin, jakiś Pers czy Chińczyk czy Annamita, czy jeszcze jakiś zamorski cudzoziemiec, lecz to co napisał, to on tylko sam jedynie potrafi przeczytać i zrozumieć, nikt więcej.

Tamci wielcy zaś mężowie, poeci i filozofowie, muzycy, rzeźbiarze, których nazwiska każdy wymienia z szacunkiem, a z największym szacunkiem sam właściciel kawiarni z figlarną bródką Fauna — te wszystkie gwiazdy kultury europejskiej wracają znowu na zajmowane niegdyś swoje stolce w Caffe Greco, a nasz Mickiewicz z Cieszkowskim i z Norwidem, z Siemiradzkim i ze Stykami, z Wygrzywalskim i Okuniem wychodzą teraz na pierwszy plan, ogromnie uradowani, że raz po raz odwiedzi ich polski żołnierz spod Monte Cassino, czy jakaś nadobna „Pestka" o niebieskich oczach, wychlipi naparstek czarnej kawy i westchną:

— Więc to tutaj przesiadywał Mickiewicz?...

Gustaw Morcinek





ANTEK HARNY

Kochają się. Chyba w tym nie ma nic dziwnego. Oboje młodzi, dorodni, zdrowi.

Ona — figlarne, czarne oczy, śliczna cera (róż, karmin, puder — zresztą bardzo dyskretnie), nosek nieregularny, wrażliwe, ruchliwe nozdrza, niepokalanie trwała ondulacja, zgrabne nóżki, smukła, giętka figurka. Pracuje w Lille w wytwórni kapeluszy. Nazywa się Rosalie Blanquart. Lat dziewiętnaście (w papierach — dwadzieścia trzy).

On — żywy, wesoły, trochę nerwowy, włosy blond, oczy szare, twarz ściągła. Dziewczęta odwracają za nim głowy; podoba im się ładny chłopiec. Pracuje w kopalni w Dourges. Nazywa się Antek Harny. Lat dwadzieścia sześć (w papierach tyleż).

Kochają się. W majowe wieczory, gdy Rosalie wraca z Lille, a Antek po rannej szychcie, wyświeżony i przebrany w lepsze ubranie, czeka na nią na dworcu — serca im biją niespokojnym rytmem, nogi same prowadzą nie w stronę domu Róży, a w małe uliczki, na ścieżki puste i zgubione w mroku, na miedze polne, nieśmiało pachnące młodą pszenicą.

Od kopalni chwilami zalatuje przykrym swędem; łagodnie majaczące w mroku pagórki są w istocie jałowymi hałdami; w oddali jękliwie i przejmująco zawodzi, zamiast słowika, istotna „miszelinka" oraz przelatuje z furkotem przed ich nie widzącymi oczami groźny wóz-pocisk na gumowych kołach.

Lecz Antek nie myśli teraz o kopalni czy hałdach; przebija mrok oczyma, od lat chłopięcych nawykłymi do ciemności, i coraz to spogląda na

zarys miłego, zadartego noska, czy na cień pukla włosów, albo biel delikatnego karku.

Nie jest poetą i dlatego nie umie powiedzieć tego, co myśli. I nie myśli nawet tego tak wyraźnie, tylko jakby strzępki obrazów ukazują się co chwilę przed jego oczami, aby w następnej chwili rozpłynąć się w gęstniejącym mroku.

Rosalie w ślubnym stroju — kiedy to będzie? Ach, niedługo, w sierpniu. Antek gotów każdej chwili iść do ślubu, ale Rosalie szyje sobie wyprawę. Sama szyje, więc powoli to idzie, a bez wyprawy nie chce.

I inny obraz: tłuste rączki malca obejmują go za szyję, umorusana buzia z ufnością przytula się do jego policzka, dźwięczny szczebiot brzmi słodko i trochę dziwnie w uszach ojcowych. Dziwnie? Ach prawda, wszystkie małe dzieci, które znał dotychczas, gwarzyły po polsku. A to? A jego synek? — Mój Boże, przecież to wszystko jedno — odsuwa nieoczekiwaną myśl Antek.

Rosalie mocniej się przytula do jego ramienia. — Najdroższy — szepcze — Toni najdroższy... — Bo tak go nazywa.

Antek Harny jest Francuzem. Rodzice — Polacy, przyjechali z Westfalii przed kilkunasty laty, zagospodarowali się, obrośli w piórka, przepisali się na Francuzów.

Antek był małym chłopcem, jeszcze do szkoły chodził, ale pamięta. Gdy ten papier przyszedł, ojciec ucieszył się bardzo. Pokazał matce. Matka, jakto kobieta: rozpłakała się nie wiadomo dlaczego, i potem poszła do sypialni i długo klęczała przed Panienką Częstochowską i z czegoś Jej się spowiadała, czy o coś prosiła... Walercia, starsza siostra,

;o już na służbę do miasta miała iść, spytała: — I o już teraz i carte d identite mi nie jest potrzebną? — A Antek tego dnia nie poszedł na lekcję polskiego, tylko na ryby. I tak zostało.

Kiedy umarła matka, Antek właśnie zaczął pracować w kopalni. Nikt w domu nie myślał, że jest tak ciężko chora. Ojciec był na popołudniowej szychcie, Walercia miała przyjechać dopiero na niedzielę.

Zapalił po obiedzie papierosa, a tu go z sypialni woła matka. Poszedł ociągaiąc się:

Leży matka w białej pościeli, malutka jakaś, żałosna, uśmiecha się blado do niego. I powiada (a głos ma taki cichy): — Antoś, gdyby tak ze mną... wiesz, co nie daj Boże... to ty mi nie sfrancuziej synku, a o tej Matce Boskiej pamiętaj! Moja to wielka wina żem wam pozwoliła obyczaju polskiego zapomnieć i przed Bogiem się ż tego będę musiała tłumaczyć. A jak będziesz starszy weź sobie dziewczynę polską, a choć w papierach Francuz jesteś, to dzieci po polsku chowaj. To ci przykazuję!

Głos matki zabrzmiał nieoczekiwaną siłą... Antek spojrzał zdziwiony prosto w oczy matczyne. Coś się w nich paliło — To pewnie z gorączki — pomyślał.

Potem matka przymknęła oczy i zdawała się zapadać w sen. Antek cicho wyszedł z sypialni rodziców. W kuchni na oknie tlił się papieros, trochę popiołu osypało się na kamienną posadzkę.

A pod wieczór matka umarła. Cichutko, spokojnie, nie wiadomo nawet kiedy.

Z przeżyć tego smutnego dnia i następnych został w sercu Antka głuchy ból i niepokój. Po kilku miesiącach ból się przytępił, serce się uspokoiło.



I oto teraz Antek Harny jest Francuzem. Po polsku prawie nigdy nie mówi (ojciec-emeryt mieszka pod Paryżem u zamężnej siostry, a Antek odnajmuje pokój od francuskiej rodziny), nic go nie obchodzą polskie sprawy, nie czyta pism polskich, nie chodzi na polskie uroczystości, a niedługo będzie się żenił z Francuską. Z Rosalie Blanquart. Z oczu, myśli serca ginie wszystko, co nie jest nią.

Dobrze jest w lipcowy wieczór jechać pociągiem, wioząc w dużym kartonie podarek dla narzeczonej: śliczny, biały jedwab na suknię ślubną. Całe Lille Antek obleciał aż wreszcie znalazł coś, co będzie w sam raz dla Rosalie: ciężką, matową krepę

jedwabną, która tak pięknie owinie jej smukłą figurkę.

Dobrze jest patrzeć przez okno na umykające pola, bujne łąki, drobne, rzadkie laski i wyniosłe hałdy, tak nieodłączne od krajobrazu północnej Francji.

Dobrze jest myśleć o tym, że tym razem nie on narzeczoną, która wraca z pracy wcześniejszym pociągiem, lecz Rosalie jego będzie oczekiwała na dworcu.

W ogóle dobrze jest żyć, gdy jest gorący wieczór letni i gdy się ma narzeczoną.

Nagle drgnął, Z sąsiedniego przedziału doleciał go dobrze znany, dźwięczny głosik. Żywo, z oburzeniem padały słowa:

— Nieprawda! Toni jest Francuzem, jak ja i ty. Odbywał nawet służbę wojskową.

Ktoś niewidoczny (także kobieta, pewnie młoda) spytała niedowierzająco: — A nazwisko?

— Nazwisko? Przecież to jest czysto francuskie nazwisko: Harny (Rosalie wymawiała Arni z akcentem na i).

Drugi, niższy głos stracił na rezonie.

— A ja myślałam, że to Polak.

Rosalie przeszła do ataku.

— Nie myślałaś wcale, tylko mi chciałaś dokuczyć, żeby potem wyśmiać się ze mnie w pracowni! Żebym się musiała przez całe życie wstydzić za swego męża!

O dziewczyno, dlaczego wypowiedziałaś te niedobre słowa? W sąsiednim przedziale ktoś blednie gwałtownie i przymyka oczy, jak po otrzymanym ciosie, żałosny, uśmiechający się blado. I przykazanie matczyne z siłą gromu rozbrzmiewa w jego

uszach i ten ostatni błysk jej oczu przepala na wylot serce.

Przyjaciółka mityguje wzburzoną Rosalie: — dlaczego się unosisz? Ja naprawdę myślałam, że twój chłopiec to Polak. Przecież w tym nie ma nic złego.

Rosalie ucięła krótko, z ustępującym już gniewem:

— To źle myślałaś. A jak się dobrze czego nie wie, to się nie paple niepotrzebnie. A Toni jest Francuzem, zawsze nim był.

Pociąg stanął. Dourges. Mimo niedawnej sprzeczki koleżanek słychać głośny pocałunek i wesołe wyrazy pożegnania. Wiadomo, przyjaźń kobieca jest jak pogoda wiosenna: słońce, burza, znów słońce.

Rosalie zręcznie zeskakuje ze stopni wagonu. Na peronie czeka już Antek. Trochę blady, oczy mu błyszczą, usta drgają zlekka. W rękach trzyma śmieszny, niepotrzebny karton.

Rosalie biegnie ku niemu. — Jakże się cieszę Toni! Wróciłam dzisiaj później, pracy było wiele. Yvonne jechała ze mną, cały czas rozmawiałyśmy o tobie.

Antek mówi bez uśmiechu:

— Słyszałem, siedziałem w sąsiednim przedziale.

A potem wybucha:

— Dlaczego skłamałaś tej swojej przyjaciółce? Dlaczego? Przecież ja jestem Polakiem!

Rosalie nie rozumie.

— Jakto jesteś Polakiem? Od kiedy? Byłeś nim, to prawda, ale już nie jesteś. Po co zresztą ktoś o tym ma wiedzieć?

Antek zatrzymuje się nagle.

— I jestem — mówi spokojnie, zbyt spokojnie, z głuchym uporem. I jestem. Od dzisiaj. Ale za to już na zawsze. A ty się nie będziesz potrzebowała wstydzić. Nikt się nie będzie śmiał z ciebie.

Wciska w ręce oszołomionej dziewczyny karton — weź, przyda ci się kiedyś! — i odchodzi. Odchodzi szybko, nie oglądając się.

W oczach, w myślach i w ściśniętym boleśnie sercu budzi się, rodzi nowy świat o nie przeczuwanym dotychczas bogactwie świat wielki jakiś przestronny, a mimo to za ciasny — na jedną drobną francuską dziewczynę.

I nie ma już w oczach Antka żalu za narzeczoną: za jakąś tam obcą dziewczyną. Raczej radość ogromna i cicha. I ten ostatni błysk matczynych oczu — jak uśmiech powitania. *Irena Lewulisowa*

HUMOR

Dalekowzroczność

— Dlaczego wyszukał pan sobie takiego młodego adwokata?

— Bo, widzi pan, myślę, że moja sprawa może długo potrwać.

Małżeństwo artystyczne

— No i jakże się wam wiedzie?

— Bardzo dobrze, dziękuję. Mąż maluje, ja gotuję a potem oboje zgadujemy co to jest.

Jadłospis

— Kelner! Proszę mi podać błąd ortograficzny!

— Już nie ma, proszę szanownego pana.

— To dlaczego jest w jadłospisie?

Oświadczyny

— Może mi pan spokojnie powierzyć swoją córkę. Na wypadek, gdyby mi się coś stało, jestem ubezpieczony.

— No dobrze, ale co, jeśli się panu nic nie stanie?

Zarozumiałość

— Z najwyższym zdziwieniem dowiedziałam się, że chce pan poślubić moją córkę. Dlaczego nie zwrócił się pan najpierw do mnie? — pyta przyszła teściowa.

— O, proszę wybaczyć! Nie przypuszczałem, że pani także jest we mnie zakochana.

Zamierzony skutek

— Dzisiaj po raz pierwszy przygotowałam sama obiad.
— I jak ci się udało?
— Odniosłam sukces
— Naprawdę?
— Tak. Mąż przyjął natychmiast kucharkę.

Zapobiegliwość

W przejeździe przez tunel pociąg zatrzymuje się nagle.
— Co się stało? — pytają wzburzeni podróżni.
— A nic. Chłopak pocałował dziewczynę, a ta pociągnęła za rączkę od hamulca bezpieczeństwa.
— To nie mogła sobie inaczej poradzić?
— Nie. Bała się, że tunel będzie za krótki.

Też powód

— Widzisz tego człowieka? Już czterech lekarzy odmówiło leczenia go.
— Ma jakąś nieznaną chorobę?
— Nie. Nie płaci rachunków.



„Prawda" o wojennych rozbitkach

KRONIKA KULTURALNA

LITERATURA

W Rzymie znajduje się obecnie 500 księgarń i 170 domów wydawniczych.

*** W Paryżu zawiązało się Towarzystwo Przyjaciół Romain Rollanda, wybitnego, nie żyjącego już pisarza francuskiego, autora powieści „Jan Krzysztof" i pięknego studium o Beethovenie. Prezesem towarzystwa został akademik Paul Claudel.

*** Wojna jest dla znanego pisarza i dziennikarza amerykańskiego Hemingwaya źródłem natchnienia. Po pierwszej wojnie światowej napisał on słynną książkę p. t. „Pożegnanie z bronią", po wojnie hiszpańskiej powieść „Dla kogo dzwonią dzwony?". Obecnie pracuje nad powieścią, której akcja rozgrywa się na tle drugiej wojny światowej.

*** Laureat nagrody Goncourtów, Bory, ma lat 26 i jest najmłodszym pisarzem francuskim, jaki ktokolwiek otrzymał tak wysokie odznaczenie.

TEATR

130 lat temu po raz pierwszy wystawiony został „Cyrulik Sewilski" Beaumarchais. Obecnie szereg teatrów europejskich wystawia sztukę dla uczczenia tej rocznicy. „Cyrulik Sewilski" zostanie również sfilmowany przez jedną z wytwórni włoskich.

*** „Król Edyp" Sofoklesa pojawił się znowu na scenie londyńskiej. Rolę tytułową gra wybitny aktor angielski Oliver Lawrence.

*** Londyn widocznie rozmiłował się w greckiej tragedii. W innym teatrze grają jedną ze sztuk Ajschylosa. Kobiety trojańskie noszą jednak, zgodnie z ekspozycją reżyserską... stroje współczesne.

*** John Giełgud, aktor angielski pochodzenia polskiego, gra rolę główną w sztuce Webstera p. t. „Księżna Malfi", której akcja rozgrywa się w XIV stuleciu.

*** Rewia amerykańska przeżywa po wojnie swój renesans. Dowodem tego jest choćby fakt, że nawet Maurice Chevalier zdradził Paryż dla Broadwayu.

*** Nie tylko rewia, ale i dramat cieszy się wśród aktorów filmowych wielkimi względami. Jeanette Mac Donald, która od dłuższego czasu zapowiadała, że porzuci film dla teatru, wystąpiła w sztuce Szekspira „Romeo i Julia", na jednej ze scen chicagoskich. Także Viviane Leigh, bohaterka filmów „Przeminęło z wiatrem" i „Wa-

terloo Bridge", wystąpi w dniach najbliższych w teatrze londyńskim w sztuce Jeana Anouilha „Antygona".

MUZYKA

Randolph Durban, pierwszy czarny dyrygent, który wystąpił w londyńskim Royal Albert Hall, osiągnął wielki sukces w Berlinie, dyrygując orkiestrą Filharmonii. Durban w czasie wojny nie zajmował się muzyką. Jako korespondent „Associated Negre Press", wysyłał depesze do swojej agencji, która obsługiwała 300 dzienników amerykańskich.

*** W pobliżu Deerwood, w Stanach Zjednoczonych, otwarta została na jednej z farm szkoła muzyczna. Młodzi ludzie rano mają zajęcia teoretyczne i praktyczne, popołudnie natomiast poświęcone jest rozrywkom, sportom i pracy w polu.

FILM

W ciągu 15 godzin ekspedientka jednego ze sklepów paryskich, Denise Billecard została gwiazdą filmową. O 9-tej rano pracowała jeszcze w sklepie, o 3-ciej przedstawiona została księstwu Windsor, o 5-tej była na podwieczorku z ambasadorem Duff Cooperem, a wieczorem podpisała kontrakt z wytwórnią filmową na odtworzenie roli tytułowej w filmie z życia arystokracji francuskiej.

*** Film szwajcarski „La derniére chance" (Ostatnia nadzieja) grany jest obecnie w Stanach Zjednoczonych i W. Brytanii. Reżyser Lindtberg miał nielada zadanie do pokonania, gdyż bohaterami filmu są przedstawiciele różnych narodowości i rozmawiają co najmniej 10 językami.

*** „Cezar i Kleopatra", film osnuty na tle komedii Shawa o takim samym tytule, który kosztował ponad milion funtów szterlingów, ukazał się na ekranach londyńskich i... rozczarował publiczność oraz fachową krytykę brytyjską.

***Józefina Baker wystąpi w filmie. Partnerem jej będzie Lucien Baroux. Tytuł filmu „Fałszywy alarm". W czasie wojny Józefina Baker śpiewała i tańczyła dla żołnierzy alianckich w Afryce, Azji i na kontynencie.

*** 44-letni Humphrey Bogart ożenił się z 20-letnią Lauren Bacall. W filmie, w którym grają obecnie, on jest 20-letnim młodzieńcem, ona jego starszą siostrą.

*** Bing Crosby wystąpił po raz pierwszy jako producent. Kręci film p. t. „Wielki John Sullivan" z Lindą Darnell w roli głównej.

*** Pierre Chenal pracuje obecnie nad filmem p. t. „Wizje" Partnerką jego jest Madeleine Sologne. Jedną z ról głównych gra Erik von Stroheim.

18 KM. DO SZCZĘSCIA

(Ciąg dalszy)

Najzwyczajniej w świecie — pociągiem: jakby to była naprawdę taka zwyczajna rzecz rankiem w sam Nowy Rok wyjeżdżać na łeb na szyję z Zakopanego, gdy nie zmusza do tego jakiś nagły wypadek w rodzinie. Gdy tylko otworzył oczy, ogarnęła go nagła irytacja. Na samego siebie. Że mimo wszystko — jest po prostu głupi. Bo to było przecież niemądre: i to, że się zerwał z łóżka jak oparzony, że wrzucał do plecaka rzeczy bez najmniejszego planu, że gorączkował się, czy aby nie spóźni się na pociąg. W dodatku na stację musiał przyjść najpierwszy ze wszystkich pasażerów, a w każdym razie wcześniej od panny Zosi. Nie zniósłby spotkania z nią — po wczorajszym zajściu — przy odjeździe pociągu, na oczach tłumu ludzi obcych.

Gdy w pośpiechu parzył sobie wargi gorącą kawą, przyszło mu nagle do głowy, o czym też myśli w tej chwili panna Zosia. To jedno przynajmniej osiągnął: że musi myśleć o nim.

Niepodobieństwo przecież, aby — wyjeżdżając z jego powodu — myśleć mogła w tej chwili o czym innym. I sprawiało mu to niejaką satysfakcję, że przez niego musi się irytować. Pakuje się na pewno w takim samym pośpiechu jak on, tak samo na pewno drży czy nie spóźni się na pociąg, a przy tym wszystkim musi być po prosta zła, że tak samochcąc przerywa sobie wypoczynek.

Ale właśnie dobrze: niech będzie zła. Niech się irytuje na samą siebie: chociaż tyle słusznie mu się należało.

Z pewnym biciem serca dojeżdżał do dworca. A nuż spotka ją gdzieś w drodze albo na samej stacji. Wówczas cały jego plan — plan nie najmądrzejszy, ale do czegóż człowieka nie doprowadzi kobieta — aby znienacka dopaść ją w pustym przedziale i zmusić do rozmowy — spokojnie na trzeźwo, wziąłby w łeb. Na szczęście los mu takiej porażki oszczędził. Na stacji zjawił się rzeczywiście jako pierwszy pasażer, budząc niemałe zdziwienie zaspanego kasjera i wcale nie mniejsze u konduktora. Wybrał sobie miejsce w ostatnim wagonie: w dniu dzisiejszym nie można się spodziewać tłoku i panna Zosia wybierze sobie na pewno wygodne miejsce w jakimś wagonie na przodzie pociągu. Czeka ich wiele godzin podróży, będzie więc miał czas wybrać najodpowiedniejszy moment na złożenie jej wizyty. Jaką też minę panna Zosia zrobi, gdy w pełnym biegu pociągu, gdzieś za Nowym Targiem, otworzy ni stąd

ni zowąd drzwi przedziału i jakby nigdy nic usiądzie sobie zwyczajnie na przeciwko. Oto jak będzie wyglądała owa zwyczajna panny Zosi jazda pociągiem.

Oczywiście nie można się spodziewać, żeby go powitała uśmiechem. Ale nie wyrzuci go przecież od razu. W dodatku, gdyby jeszcze ktoś obcy siedział w tym samym przedziale. A on, jak gdyby nigdy nic, zakomunikuje jej spokojnie, że także postanowił wracać już do domu, że woli sto razy spokojne życie w miasteczku niż wielki świat Zakopanego: ludzi, którym zachciewa się rzeczy niezwykłych, i krajobrazu, który może być doskonałym tłem dla romansu, ale w którym nie można by żyć na codzień.

Wszystko zresztą jedno co jej powie. Nauczony doświadczeniem że wszelkie plany ludzkie złośliwy los zwykł przewracać do góry nogami, postanowił nie obmyślać dokładnie rozmowy. Nie to jest przecież ważne, co sobie powiedzą, ale jaki nastrój będzie towarzyszył ich słowom.

Przywołał się w tej chwili do porządku. Zajęty swymi myślami zagapił się na dobre, a przecież powinien uważać na peron. Musi przecież widzieć, w jakim momencie zjawi się panna Zosia i do którego wagonu się skieruje. Trzeba znać pozycję przeciwnika, a czeka go z ukochaną kobietą wcale nie najłatwiejsza batalia.

Peron był pusty. Kręciło się koło pociągu kilku kolejarzy, ale upłynęła spora chwila, zanim Roman zobaczył pierwszego pasażera. Zegar wskazywał godzinę 7.40. A zatem za dziesięć minut pociąg ruszy.

Romana kusiło, aby wychylić się przez okno i z daleka już zobaczyć pannę Zosię, gdy będzie dojeżdżała do dworca. Niskie zabudowania stacyjne pozwalały widzieć na całej prawie długości ulicę Kościuszki, którą lada chwila nadejdzie. Wybrała się z domu na pewno sankami. Ma przecież sporo bagażu — zwyczajnie jak to kobieta.

Ale tkwił nieruchomo na swoim posterunku za szybą: nie mógł przecież zdradzić przedwcześnie swej obecności. Grunt to działać metodą zaskoczenia.

Zegar stacyjny wskazywał godzinę 7.45. Za pięć minut pociąg odjedzie. Roman począł się niecierpliwić: powinna już być.

Ale panna Zosia nie nadjeżdżała, choć zasmarowany kolejarz opukał wszystkie hamulce i choć na peronie zjawiła się czerwona czapka zawiadowcy.

Gdy do odejścia pociągu brakowało tylko jednej minuty Roman począł się gorączkować na dobre. Musiała rzeczywiście zaspać. Namyślał się, czy nie wyskoczyć z wagonu i nie przebiec wzdłuż

pociągu by sprawdzić, czy nie wsiadła przypadkiem wcześniej, ale opamiętał się w porę. Nie miałoby to najmniejszego sensu. Może wpaść w ostatniej chwili i, zobaczywszy go, cofnąć s ę. A na stacji, wobec przypadkowych świadków, chciał unikn ć podobnej sceny. Zresztą i tak było już za późno, bo właśnie lokomotywa nabrała oddechu, zasapała z wysilenia i cicho, równiutko pociąg ruszył.

A więc raz jeszcze urządziła mu najgłupszy w świecie kawał. Oto jeszcze raz los z niego zakpił. Nie służyło mu tutejsze powietrze. Po cóż zgodził się na ten cały wyjazd do Zakopanego! Nie lepiej było siedzieć w domu jak u Pana Boga za piecem, zwyczajnie, jak człowiek, któregoś wieczoru, w drodze powrotnej z kina, oświadczyć s ę pannie Zosi. Usłyszeć jej zgodę i nutę szczęścia w głosie.

Ale nie, nie mógł żałować! Nie miał co udawać przed sobą, że kiedykolwiek wyznałby miłość pannie Zosi — w pogodny wieczór, w drodze powrotnej z kina. Przecież, gdyby nie ten wyjazd, nie spostrzegłby dotychczas wyrazu jej oczu, nie odczułby wdzięku jej uśmiechu, nie zaznałby tego drżenia serca, które spowodowało, że po raz pierwszy w życiu zrozumiał znaczenie słowa: szczęście.

Zmitygował się: mógł — najzwyczajniej w świecie — nie spostrzec jej, mogła przecież wsiąść do poci gu zan m on przyszedł na stację. I może jak on przed chwilą obserwowała przez szyby peron, może widziała go doskonale i teraz nastroiła się odpowiednio w oczekiwaniu jego wizyty.

Nie było co długo się namyślać. Jeśli nawet wie, że on jedzie tym samym pociągiem, jeśli zd żyła się już opancerzyć w swej niezawodny „charakter", to tym szybciej należy działać. Puścił się w wędrówkę po poci gu. Mijał puste korytarze pullmanowskich wagonów, zagl dał do pustych przedziałów — nigdzie panny Zosi nie było.

W całym pociągu jechało nie więcej jak dzies ęciu pasażerów. Poranek pierwszego dn a roku nie jest odpowiedni porą do podróżowania. Zmusza do ruszania w drogę tylko tych, których wzywają najbardziej nagl ce sprawy.

Nie mogło być wątpliwości. Jeśli panna Zosia nie namyśliła się i nie zrezygnowała w ogóle z wyjazdu w najbliższych dniach, zostanie do poc ągu wieczornego. Tak czy owak plan jego się nie udał. Nie mógł zrobić nic mądrzejszego, jak na pierwszej stacyjce wysi ść i wracać do Zakopanego.

Na szczęście z Poronina jest do Zakopanego tak niedaleko, że nie potrzebował nawet czekać na pociąg. Załadował swój niewielki bagaż na sanie, a sam ruszył na nartach.

Postanowił nie wracać już do poprzedniego pensjonatu. Nie wiedział jak długo jeszcze pozostanie, a trudno przecież wobec gospodyni i służby okazywać taki brak równowagi.

Czyścił właśnie przed swym nowym domem narty ze śniegu, gdy spostrzegł na drodze Gruzina, tego bałwana, który mu tyle krwi napsuł. Czegóż ten się tak cieszy, myślał nieprzyjaźnie, gdy chłopak z daleka witał go wesołym okrzykiem.

— Wszystkiego najlepszego! Jakże wam przeszedł Sylwester?

— Dziękuję — odpowiedział Roman dosyć mrukliwie. Nie miał zamiaru wdawać się z nim w zbyt długie rozmowy.

— Żałuję, że nie wybrałem się z wami. Ale tak to jest, gdy człowiek wybiera się do Zakopanego z ciotk .

Roman nie był bynajmniej ciekaw ani jego samego, ani tym bardziej owej ciotki, której nie widział na oczy. A młodzieniec tymczasem stanął u furtki i zdradzał najwyraźniej skłonność do dłuższej pogawędki.

— Wcześnie wróciliście. Myślałem, że przyjedziecie dopiero po obiedzie. Przyznać się nawet muszę, że miałem zamiar położyć się na jakieś dwie godzinki i gdzieś koło południa podskoczyć do was na Halę. Byłem pewny, że was tam jeszcze zastanę.

Nie interesowały Romana jego projekty, ale trudno było przecież zawinąć się na pięcie i zostawiając go na drodze wejść do domu. Starannie czyścił narty: zajęcie uwalniało go w pewnym stopniu od udziału w rozmowie.

— Z pana to, widzę, sportowiec całą gęb — ciągnął Gruzin niezmużenie. — Że też chce się panu po całej nocy bez snu tak dokładnie czyścić deski.

Ta uwaga rozchmurzyła trochę Romana, toteż spojrzał nań z niejaką życzliwością:

— Nie spędziłem przecież całej nocy na nartach — powiedział, zły na siebie, że nic m drzejszego nie przyszło mu do głowy.

— Spodziewam się. Ale tańczyć sałą noc...

Czyż miał mu Roman tłumaczyć, że całą tę noc Sylwestrową przespał zwyczajnie w łóżku. Cieszyło go przynajmniej, że chłopak w niczym się nie orientuje. Także Natalka nic nie wie i nikt w ogóle. To jedno chociaż nie udało się pannie Zosi: nie zdołała go ośmieszyć wobec ludzi — przynajmniej na razie. A co będzie dalej, to się jeszcze zobaczy. Za wszelką cenę musi się zaraz spotkać z Natalką i całym towarzystwem, żeby z góry przeciwstawić się wszelkim ludzkim domysłom.



Poczuł nagle coś w rodzaju sympatii do Edwarda.

Roman zaczął z zapałem smarować narty. Pojedzie — i to zaraz — na Halę, żeby się zobaczyć ze wszystkimi, nim tu na miejscu zdążą się dowiedzieć o jego niesławnej porażce.

— Pan to jest niezmęczony — mówił tymczasem Edward z pewnym podziwem.

— Rzeczywiście — odpowiedział Roman i zdobył się na uśmiech. — Wybieram się właśnie na spacer

— Wie pan co? — zawołał z zapałem. — Niech pan poczeka trochę na mnie. Przebiorę się raz dwa i pójdziemy razem.

Nie wypadało mu odmówić.

— Zmęczony pan pewnie. Tańczyć całą noc... Roman próbował go zniechęcić. Nie może przecież w jego towarzystwie pokazywać się na Hali.

— Głupstwo! Niech pan podjedzie do mnie, dobrze? To będzie prędzej. Tu zaraz. O tamta biała willa.

I żwawo podskoczył w stronę domu.

Zrozumiałe, że na wspólny spacer z tym chłystkiem, który nie wiadomo czym zdołał tak ująć pannę Zosię, nie miał Roman najmniejszej ochoty. Ale pocieszał się, że może to nie od rzeczy będzie pagadać z nim trochę. Będzie mógł się zorientować, o ile panna Zosia jest nim zainteresowana.

Natalka z całym towarzystwem i tak na pewno jeszcze o tej porze śpi. Zdążę się jeszcze z nimi zobaczyć — myślał, zbliżając się na nim całonocne zmęczenie.

Już to Natalka miała rację. Edward nie tylko był przystojnym młodzieńcem, ale zupełnie znośnym towarzyszem. O ile z niechęcią patrzył Roman na jego twarz ozdobioną zdrowym rumieńcem, na jego białe zęby i czarne, pełne blasku oczy, o tyle z niejaką przyjemnością słuchał jego pokrzykiwań, gdy zbyt oddalili się od siebie, i przymilnych komplementów, których mu chłopak nie szczędził.

W niedługi czas rozchmurzył się Roman całkowicie. Sprawiało mu zadowolenie, że na deskach czuł dziś zdecydowaną przewagę nad nim. Na każdym podejściu Edward puchł wyraźnie — odbijało się po nim całonocne zmęczenie.

— Pan oczywiście staje do biegu na przełaj — zagadnął Edward w jakiejś chwili.

Kilka dni temu, co prawda, Roman myślał jeszcze o tym z zapałem, ale wczoraj ze wszystkiego zrezygnował. Toteż odpowiedział wymijająco:

— Zobaczymy jeszcze.

Czyż mógł w takim stanie rzeczy podejmować jakiekolwiek zamiary. Kto wie: może jutro już go tu nie będzie?

— Pan musi wziąć w tym biegu udział — namawiał Edward gorąco.

Przystanęli na chwilę. Roman spojrzał na Edwarda z nagłym zainteresowaniem.

— Dlaczego... pan tak się dziwi?... zapytał Edward.

— Nie mam przecież najmniejszych szans.

Roman wykrztusił to z siebie szybko i nagle ogarnęła go złość na samego siebie: nie mógł się powstrzymać, by głos jego nie zadrżał nutą żalu.

— Tak pan myśli...

Młodzieniec mówił to powoli, przeciągle, i z zaciekawieniem patrzył na Romana.

— Szanse to ma pan chyba większe ode mnie — ciągnął. — A mimo to, mam zamiar stanąć do tego biegu... — I kończył po dłuższej pauzie: — Przy zjeździe może mi się rzeczywiście udaje osiągnąć większą szybkość od pana. Ale ileż można zyskać na zjeździe: sekundy. Zarabia się czas albo traci, tylko na podejściach. A widzi pan, jak ja zostaję w tyle na każdej górce.

Nawet nie jest zarozumiały — pomyślał Roman. A wydawało mu się zawsze, że Edward ma wielkie mniemanie o sobie.

— Dobrze, panie Edwardzie — powiedział. — Jeśli pan staje, to i ja spróbuję.

I nagle zająknął się jakoś.

Spróbuję! Do tego doszło, że ma próbować... Oto do czego doprowadza niestałość uczuć kobiet z charakterem!

Zjechał gwałtownie po pochyłości, nie oglądając się na towarzysza. Z daleka doleciał go głos Edwarda.

— Zawrócimy już chyba? — wołał młodzieniec ze wzniesienia na którym pozostał. Widać było, że jest już zmęczony.

Ani się Roman obejrzał, jak znaleźli się znów wśród zabudowań. Nie lubił powrotów do domu. Na widok zatłoczonej saniami ulicy i zbitej ciżby przechodniów doznawał zawsze uczucia jakby wracał z jakiejś zaczarowanej krainy do znanego od lat, ciasnego pokoju, w którym brak powietrza.

Ale dziś nie było na ulicach prawie żadnego ruchu. Od czasu do czasu tylko przemknęły sanie, albo przefrunęła ze śmiechem

grupa rozbawionych dzieci. Wszyscy goście — a i górale — odsypiali Sylwestra. W pewnej chwili, gdy mijał jakąś przecznicę, wydało się Romanowi, że mignęła mu przed oczyma sylwetka panny Zosi. — Troi mi się w oczach — zmitygował samego siebie, zły, że zaczyna ulegać podobnym złudzeniom. Niedługo w każdej przechodzącej kobiecie zacznie widzieć Zosię. Żwawiej podążył naprzód, odbijając się spory kawałek od Edwarda, który znowu pozostał w tyle.

— Niech pan tak nie pędzi — doleciał go z daleka głos towarzysza.

Obejrzał się. Na rogu przecznicy, którą właśnie minął, Edward witał się z panną Zosią.

Zawahał się, czy zawrócić do nich, ale już Edward wykrzykiwał ku niemu:

— Nie widzi pan kogo spotkaliśmy!?

Kilkadziesiąt kroków, które dzieliły go od rozmawiających, pozwoliły Romanowi opanować się na tyle, że kiedy zbliżał się do nich był już całkiem spokojny.

— Byliśmy na spacerze — tłumaczył Edward, widać na jakieś zapytanie panny Zosi.

— Dzień dobry! — odezwał się Roman jak tylko mógł najuprzejmiej, i jak tylko mógł najobojętniej.

Nie bez satysfakcji stwierdził, że jego powitanie, jakkolwiek panna Zosia miała dość czasu aby oswoić się z jego obecnością, stanowiło dla niej wstrząs, nad którym nie zdołała zapanować.

A więc nie wyjechała! Ale czy zostanie, czy też postawi na swoim i wieczorem wróci — mimo wszystko — do domu? Jakakolwiek była przyczyna, że nie wyjechała rano, czuł, że to właśnie przypadkowe spotkanie jest decydujące dla nich — dla jego! — przyszłości.

Poczucie ważności tej chwili odebrało mu na jakiś moment mowę. Oto jak los urządza wszystko po swojemu. Trzy godziny temu warował u okna wagonu, żeby ją zobaczyć — może tylko po to, aby usłyszeć od niej to samo co wczoraj. A teraz gdy nie zdążył nawet „przygotować" się na jej spotkanie, stoją sobie zwyczajnie na skrzyżowaniu ulic i, jak gdyby nic się nie stało, prowadzą towarzyską rozmowę.

Panna Zosia tymczasem odzyskała już całkowitą swobodę i mówiła z uśmiechem, zwracając się raczej do niego niż do Edwarda.

— Panowie widzę, już od świtu na nartach...

Oto się nazywa stałość kobiety. W głosie jej nawet był ten sam ton jak dawniej — jak dawniej, gdy panna Zosia była w nim zakochana. W tej chwili stało się dla niego jasne, że wbrew wczorajszemu swemu oburzeniu — tylko dlatego nie wyjechała rano, aby nie opuszczać Zakopanego bez pożegnania z Edwardem.

— Najlepiej witać Nowy Rok z daleka od ludzi — odpowiedział spokojnie, i w głosie jego nie zadrgały ani żal, ani gorycz. —

Spotkali się oczami i w źrenicach panny Zosi wyczytał najwyraźniej nagłe zainteresowanie.

— Prawda? — kończył Roman swoją myśl, z pewną ostentacją zwracając się do Edwarda.

— A jakże pan spędził Sylwestra? — pytała panna Zosia Edwarda.

— Nie mogłem odżałować, że nie wybrałem się z wami — odpowiedział chłopak szczerze.

Pewnie! — pomyślał Roman z irytacją.

— Pani na pewno bawiła się doskonale — ciągnął tymczasem Edward.

— Tak — stwierdziła panna Zosia krótko, najwyraźniej zniechęcona już tokiem rozmowy.

— Rozumie pani: obowiązki wobec ciotki. Ale za to dziś musimy sobie powetować: wybierzemy się do Karpowicza, dobrze?

— No, nie wiem jeszcze... — odpowiedziała z wahaniem.

Roman słapał jej spojrzenie. Patrzył w jej oczy spokojnie, maskując jak umiał napięcie oczekiwania. Wszystko właściwie zależy od tego, czy powie w tej chwili: tak.

Wahała się jeszcze przed chwilą, a więc jej decyzja co do wyjazdu — co do ostatecznego zerwania! — nie jest tak całkowicie nieodwołalna.

— Myślę, że panie wypoczną do wieczora — powiedział aby jej ułatwić odpowiedź. — Ja już obudzę Natalkę, gdyby nie wstała na czas.

Tym razem wyczytał w jej oczach aprobatę, a nawet wdzięczność.

Chociaż na tyle sobie zasłużył. Zrobiło mu się na duszy niesłychanie wesoło. Przewraca oczami, jakby to we mnie była zakochana — myślał. Postanowił sobie, że wieczorem tylko Natalce będzie dotrzymywał towarzystwa: niech ci oboje powiedzą sobie wszystko, co tylko mają sobie do powiedzenia.. A potem niech



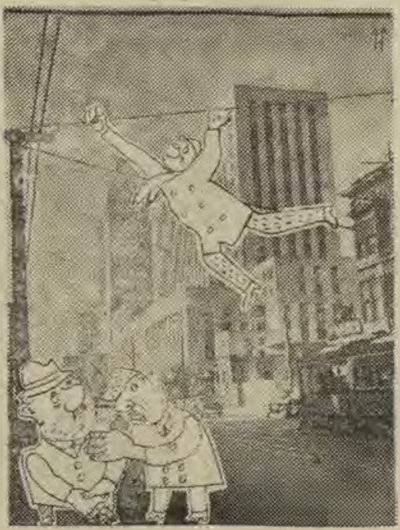
panna Zosia wyjeżdża sobie — choćby jutro skoro świt. Nie popędzi już po raz drugi na dworzec, jak zakochany sztubak. A do biegu narciarskiego oczywiście stanie. I pokaże temu chłystkowi o ślicznych oczach i białych jak u wilczka zębach, kiedy to się traci na czasie, a kiedy się zyskuje.

— Pan wstąpi wobec tego po panie — zwrócił się do Edwarda tonem nie dopuszczającym sprzeciwu. — Bo ja, niestety, będę mógł wpaść tylko na krótko i to dosyć późno. A teraz muszę się już pożegnać, bo na mnie czas. Zatem — do widzenia!

W chwili pożegnania panna Zosia miała zdecydowanie niewyraźną minę. Za to Roman odchodził z poczuciem niejakiego triumfu. Po raz pierwszy od całych dni był z siebie zadowolony.

(Dok. n.)

Andrzej Koreck



Komandos w cywilu



BUDOWNICZY

CYFRY, DATY, FAKTY

Druki

— Najdroższą książką na świecie jest Biblia, drukowana w Moguncji przez samego Gutenberga. Wartość jej równa się kilku milionom lirów. Na drugim miejscu znajduje się Psałterz, wydany w 1457. Jest to pierwsza książka, na której podano rok wydania. Oceniany on jest obecnie na sumę 3 milionów lirów. Dalej figurują: „Historia Troi" (1469-1471) w języku angielskim, „Opowieści z Canterbury" (1478), „Śmierć Artura" Thomasa Malory (1485). W r. 1492 wydane zostało w Wenecji pierwsze ilustrowane wydanie „Dekameronu" Boccaccia, z którego pozostało na całym świecie tylko 5 egzemplarzy; jeden z nich sprzedany został obecnie na licytacji w Londynie za sumę 3400 funtów szterlingów. Spośród najdroższych książek wymienić należy jeszcze: „Księgę praw zasadniczych i wolnościowych mieszkańców Massachusetts (1648), której jedyny egzemplarz znajduje się w ręku jednego z amerykańskich kolekcjonistów, oraz „Psalmy" wydane w r. 1640 i jedyny pozostały do dziś egzemplarz pierwszego wydania „Venus i Adonis" Szekspira.

— Pierwsze „Pocztówski Ilustrowane" z życzeniami noworocznymi i świątecznymi powstały w r. 1843, kiedy to pewien wydawca angielski zaakceptował projekt niejakiego Horsleya, który przedstawił mu ilustrację, składającą się z trzech części: w środku znajdowała się rodzina przy stole, rysunki po bokach przedstawiały biednych otrzymujących podarunki.

W roku 1880 londyńskie pismo „Egyptian Hall" ogłosiło konkurs na projekt pocztówki ilustrowanej z życzeniami. Nagrodę w wysokości 500 funtów otrzymała Alice Havers.

Maszyny

— SAMOLOT po raz pierwszy dźwignął się w powietrze 42 lata temu. 17 grudnia 1903 roku na wyspie Ritty Hawk, w Północnej Karolinie, bracia Orville i Wilbur Wright unieśli się w powietrze na latawcu, cięższym od powietrza, który był prototypem dzisiejszego samolotu. Ten pierwszy lot trwał ... 1 minutę.

— MASZYNA DO WYKRYWANIA ... KŁAMSTW wynaleziona została w Chicago przez pewnego inspektora policji. Kiedy człowiek kłamie, jego oddech i puls nie działają normalnie. Wynaleziona maszyna notuje te odchylenia w czasie zeznań przestępcy.

Ludzie

— CZŁOWIEK żyć może 180 lat. Tyle lat miał przedstawiony w r. 1878 Kongresowi Medycznemu w Bogocie Miguel Solis. Jadał on tylko raz dziennie. Mięsa używał dwa razy na miesiąc.

Natomiast zmarły w r. 1939 w Południowej Afryce w daleko młodszym wieku, 141 lat, Ramonotwane, jadł mięso co dzień i popijał piwo. Widocznie więc na powstrzymywaniu się od mięsa polega sekret długiego życia. Kto wie, czy Solis nie żyłby jeszcze dłużej, gdyby odmówił sobie nawet tej odrobiny mięsa, które jadał dwa razy na miesiąc.

— CZŁOWIEK DNIA JUTRZEJSZEGO nie będzie podobny do nas — twierdzi wybitny powieściopisarz angielski H. G. Wells, autor „Historii świata" i „Roku 2000". W 20 wieku kończy się władztwo nasze, a rządy na ziemi przekazane zostaną innemu stworzeniu, niepodobnemu zupełnie do obecnej istoty ludzkiej.

— PROTOTYP CZŁOWIEKA znaleziony został w Ciu-Ku-Tien w Chinach przez jezuitę o. Teilnard de Chardin. Jest to szkielet t. zw. „Mężczyzny z Pekinu", który Japończycy umieścili w muzeum Uniwersytetu Imperialnego w Tokio. Obecnie oddany on został jezuitom amerykańskim i wysłany do Stanów Zjednoczonych. Przy pomocy plasteliny zrekunstruowano prototyp człowieka. Nie przynosi on rodzajowi ludzkiemu specjalnej chluby: mężczyzna z Pekinu jest niski, krępy i bardzo brzydki.

— NAZWISKIEM najbardziej rozpowszechnionym jest w Anglii Smith, a we Francji Dupont. Ale najbardziej rozpowszechnione jest w pewnym okręgu Kanady nazwisko Poulin. W hrabstwie Beauce w czasie wyborów na 23.000 wyborców 3.000 nosiło nazwisko Poulin. Deputowanym został oczywiście również Poulin — dwojga imion Giorgio Ottavio.

— KOBIETY angielskie na skutek wojny mają zdeformowane ręce i nogi. Zmobilizowane do rozmaitych służb pomocniczych posiadają obecnie średnio o numer większe bucik i rękawiczki; obwód pasa jest również większy o 5 cm. Moda brytyjska szuka ukrycia tych wad przed okiem mężczyzny.

— MĘŻCZYZNA, a nie kobieta, nosił pierwsze na świecie pończochy jedwabne. Król Henryk II nałożył je w dzień swego ślubu z Katarzyną Medycejską (1533). Pierwsza kobieta włożyła pończochy jedwabne dopiero w roku 1561. Kobietą tą była królowa Elżbieta angielska.

SKUTKI PICIA WÓDKI

(Ze wspomnień starego aktora)

To było bardzo dawno temu. Wprawdzie nie chowano już wtedy u nas aktorów pod płotem, ale jeszcze nie przyjmowano ich w „lepszych domach". Zwłaszcza ci wędrowni, z prowincji, z tak zwanej „szmiry", nie zażywali wielkiej estymy w społeczeństwie.

Koczowali z miasta do miasta, zawierali chwilowe znajomości, przyjaźnie, romanse... do motylich podobne.

A wśród tych cyganów nie brakło typów ciekawych, zabawnych, nie brakło przygód nieprawdopodobnych.

Wspomnienia o nich zatarły się z czasem jak stare dagerotypy, nazwiska przebrzmiały, anegdoty zbladły i wkrótce może cały ten światek dawnego teatru utonie w morzu niepamięci. Tak jak cała praca aktorska: wielkie role, wielkie sukcesy, wzloty i upadki, blaski i nędze wędrownych synów Melpomeny. Sztuka palcem po wodzie pisana...

„*Tak to czuję, tak to słyszę...*
Może kiedyś to opiszę..." — jak mówi poeta.

Może... Tymczasem opowiem wam jedną z przygód, której sam byłem świadkiem. Oczywiście byłem bardzo młody. Byłem wówczas prawie... niemowlęciem.

Operetka dyrektora Szczurkowskiego „grała sezon" w Ciechocinku. Zespół był liczny i murowany, orkiestra świetna, chóry dobre itd. itd. Więc i powodzenie nielada, więc i dobrobyt, i gaże regularnie płacone. W tym sezonie aktorzy niemal co dzień jadali obiady, chyba, że ktoś notorycznie przepijał wszystkie zaliczki. Antoś Wzorczykowski należał do tych ostatnich. Nosił wdzięczne przezwisko „Krowa", choć „Gąbka" lepiej by doń pasowała. Ale i „Krowa" miała swe uzasadnienie, bo Antoś wiecznie coś przeżuwał. Guma do żucia nie była jeszcze u nas w użyciu, więc żuł chyba suche kromki chleba, które na wszelki wypadek, jako „zagrychę" do wódki, stale nosił w kieszeni.

Dlaczego Antoś Wzorczykowski znalazł się w teatrze — nikt nie wiedział. Na aktora, i to jeszcze operetkowego, nie predystynowały go ani zdolności, ani głos, ani warunki zewnętrzne. Miał gębę starej przekupki o krogulczym nosie, dwie lewe nogi, pękaty brzuszek i karpie oczy.

Głos przypominał uszkodzony klakson samochodu, a ruchy elewa akademii smorgońskiej. Ale Antoś zawsze miał „engagement", bo Antoś był w teatrze niezastąpiony. On natomiast mógł

zastąpić w potrzebie każdego. Źle zagrał, ale zagrał, „zdublował". Prócz tego umiał od biedy namalować dekoracje, urządzić oświetlenie, spreparować rekwizyty, a przede wszystkim był genialnym charakteryzatorem, mistrzem od peruk, zarostów i szminek. Ale robił to wszystko z amatorstwa i za nic w świecie nie zaangażowałby się jako „fryzjer". Nie! Antoś miał ambicje aktorskie, a że przekorny los (i reżyser) nie dawał mu zaspokojenia tych ambicji — Antoś pił. Pił na umór, z entuzjazmem, z wytrwałością połykacza ognia.

Ale nawet po pijanemu Krowa nie tracił nic ze swej łagodności, przeciwnie alkohol jakby konserwował jeszcze jego gołębie serce. Koledzy wyzyskiwali jego poczciwość przy każdej okazji, ale on ochotnie wysługiwał się wszystkim. Załatwiał drobne zlecenia, sprawunki, pielęgnował po samarytańsku chorych. Ba, nawet leczył w potrzebie! Bo miał też wielkie zamiłowanie do medycyny. Ale zaszczytny tytuł „dr. Krowa" otrzymał dopiero po następującym wypadku.

W piękne lipcowe przedpołudnie zeszli się aktorzy do teatru na próbę. Może pamiętacie jeszcze letni teatr w Ciechocinku? Taki sobie, na żółto pomalowany drewniak w stylu „ciechocińskim", z fontanną przed frontowym wejściem i z rachitycznym ogródkiem na tyłach. Wolne chwile w czasie prób aktorzy spędzali właśnie w tym ogródku. Tu była palarnia i kuźnia ploteczek. Bufet mieścił się po przeciwnej stronie ulicy, na dworcu kolejowym. W bufecie I klasy pokrzepiali się soliści (officers only!), szary tłum chórzystów, statystów i muzykantów (men) popijał w III-ej klasie, „u pani Kostrzewskiej".

W to historyczne przedpołudnie dość liczna grupka gwiazdorów zjadła właśnie śniadanie na dworcu i zmierzała w stronę teatru. Wzdłuż ulicy układano wtedy nowy rurociąg do słynnej „Solanki ciechocińskiej".

Wykopany rów, oszalowany był od wewnątrz deskami, podpartymi szeregiem stempli — t. zn. potężnych pali. Z przeskakiwania rowu podochocone towarzystwo uczyniło sobie zawody sportowe. Od skoków w dal przeszło się niebawem do innych działów lekkiej atletyki, a skończyło się na wyrywaniu głęboko w ziemi tkwiących pali.

Stawały do tego sportu co najmocarniejsze chłopy z całej trupy, więc: tenor Piotruś Kozłowski, baryton Szczawiński, basy Jastrzębski i Bogucki. Chłopy na schwał!

Ale nie wszyscy tacy. Był w tym rozbrykanym gronie i komik — Romuald G., wówczas początkujący — późniejszy gwiazdor

kabaretu i rewii. Mały, białoróżowy grubasek o kobiecych rączkach i nóżkach, z goloną głowa, nakształt kuli bilardowej.

Nie należał do osiłków, ale miał chorobliwą wprost ambicję we wszystkich kierunkach. Więc i w tym sporcie chciał zabłysnąć jako Wyrwidąb. Ujął oburącz jeden z palików, podsadził się, wsparł na swych krótkich nóżkach i szarpnął z całej siły. Pal ani drgnęł... Ale Roman jęknął głucho i obsunął się bezwładnie na stertę rozkopanej gliny...

Zbiegła się cała trupa, przerwano próbę i dobrą godzinę komentowano wypadek, otoczywszy kołem biedną bezwładną ofiarę. — Naderwał się...” — „Nadwyrężył sibie kregosłup”. — „A ja wam mówię, że to ruptura”. — „Bzdura! po prostu naciągnął sobie ścięgno”. — Przypuszczenia wyprzedzały jedno drugie, rady sypały się obficie, ale nikomu nie przyszło na myśl wezwać lekarza.

Krowa nadszedł nieco później, a choć już był „pod muchą”, zorientował się w sytuacji od razu.

— Nie ma co wydziwiać i nie trzeba się mądrzyć. Z punktu widzenia medycyny urazowej sprawa jest jasna.

— Ale co z nim robić?

— To już nie moja rzecz. Pomóżcie mi tylko zanieść go do domu. Mieszkam z nim w jednym pokoju na Białych Domkach. W domu postawię mu bańki, potem natrę spirytusem i dam na poty. Za dwa dni będzie zdrów jak ryba!



Rys. Z. i L. Haar.

Zaufanie do Krowy mieli wszyscy i wkrótce eskulap amator przystąpił do kuracji. Rozci gniętemu na łóżku jak żaba Romciowi obstawił gęsto bańkami nie tylko plecy, ale i wszystkie peryferie takowych. Nakrył delikatnie prześcieradłem i poszedł do szynku po spirytus.

— Tymczasem niech bańki dobrze naciągną — rzucił na pożegnanie pacjentowi.

W knajpce — jak to w knajpce — Krowa trafił na towarzystwo. Jakiś „bębenek" stawiał kolejkę za kolejką, więc i czas szybko płynął na falach czystej wyborowej.

Ani się spostrzegł Antoś-Krowa, jak wybiła siódma i najwyższy czas było biec do teatru. Bo Antoś grał w pierwszym akcie.

Przypomniał sobie pacjenta i „naciągające" bańki, ale pocieszył się zaraz:

— Nic mu się nie stanie... Bańki wyciągną wszystko do szczętu, a za godzinę pobiegnę do Romcia i... natrę go. Żebym tylko nie zapomniał o spirytusie!

I nie zapomniał: wypił dla kurażu przed wejściem na scene.

Skończywszy swoją skromną „kreację" lokaja, Antoś natychmiast pobiegł do pacjenta. Przypomniawszy sobie, że przygotowany dla niego spirytus wypił w teatrze, wst pił oczywiście do knajpki po nową porcję. Ale w knajpie trafił, oczywiście, znowu na towarzystwo i na nowego „bębenka". Amfitrion był tak hojny i gościnny, że... po prostu trudno mu było odmówić. Popijocha przeciągnęła się aż do zamknęcia lokalu. Wtedy Krowa przypomniał sobie pacjenta i zażądał w bufecie spirytusu. Nic nie pomogły perswazje, że to „dla chorego".. Szynkarz kategorycznie odmówił zalanym gościom spirytusu, a w końcu awanturującego się Antosia grzecznie wystawiono za drzwi. Było już po północy. Krowę dręczyły wyrzuty sumienia i oburzała obojętność ludzka na cierpienia kolegi. Do wielu jeszcze szynków kołatał tej nocy — napróżno... Aż znalazł się przed apteką z napisem „dyżur nocny". Energicznie zadzwonił i zażądał od zaspanego prowizora 100 gr. czystego spirytusu.

— Jeszcze panu mało? — warknął prowizor. — Tu, panie dziejski, jest apteka, a nie szynk dla pijaków. Żegnam pana!

Ale Antoś nie dał za wygraną. Chwycił farmaceutę za szlafrok i wsadził nogę między drzwi i framugę.

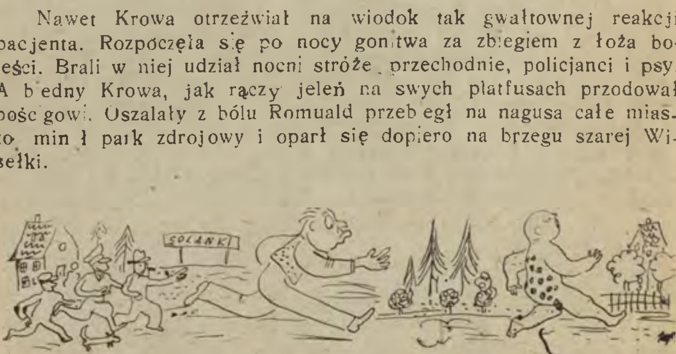
— Magistrze! Profesorze! Gwiazdo farmakopei! Niech trupem padnę, jeśli to dla mnie!... Dla kolegi! Dla przyjaciela, co na łożu

boleści może ostatnie tchnienie już wydaje.... Muszę go natrzeć! Miej litość, magistrze!...

Prowizora wzruszyły nie tyle pijackie łzy, ile szumne tytuły, i po chwili wydał Krowie spirytus, ale dla pewności mrówczany, do użytku wyłącznie zewnętrznego.

W domu panowała podejrzana cisza. Chory już nawet nie jęczał. Po zdjęciu z niego prześcieradła ukazał się oczom Krowy widok wręcz niesamowity: bańki naciągnęły do maksimum możliwości. O zdjęciu ich zwykłym sposobem nie mogło być mowy. Krowa sięgnął po rozum do mętnej głowy i przy pomocy młotka zaczął rozbijać jedną bańkę po drugiej. Chory pojękiwał w miarę słabnących sił, ale leżał kompletnie bezwładny. Miał już pokrwawione całe plecy (z przyległościami) a obrzęk po bańkach tu i ówdzie popękały. Topograficznie teren przypominał powierzchnię księżyca usian drobnymi wulkanami. O nacieraniu spirytusem tak wyboistej płaszczyzny nie było mowy. Długo biedził się dr. Krowa, wreszcie postanowił chore miejsca po prostu polać spirytusem mrówczanym. Ten prosty, zdawałoby się, zabieg wywołał skutek piorunujący. Biedny Romuald ryknął nieludzkim głosem, podskoczył na łóżku, odbił się o niski pułap i całym impetem sponiewieranego ciała jak go Pan Bóg stworzył — wyskoczył przez otwarte okno. Szczęściem pokój był na parterze, a noc była bezksiężycowa, więc ani delikwent, ani moralność publiczna nie ucierpieli.

Nawet Krowa otrzeźwiał na wiodok tak gwałtownej reakcji pacjenta. Rozpoczęła się po nocy gonitwa za zbiegiem z łoża boleści. Brali w niej udział nocni stróże, przechodnie, policjanci i psy. A biedny Krowa, jak rączy jeleń na swych platfusach przodował pościgowi. Oszalały z bólu Romuald przebiegł na nagusa całe miasto, minął park zdrojowy i oparł się dopiero na brzegu szarej Wiselki.



Rys. Z. i L. Haar.

Tu dopadła go pogoń i powstrzymała od nocnej kąpieli. Zaniesiony do domu, po tak gwałtownym spacerze zasnął z wyczerpania, ale nazajutrz był zdrów jak ryba. Z czasem zagoiły mu się i blizny na plecach (i peryferiach), a potem po końskiej kuracji zostało tylko zabawne wspomnienie.

Po latach, kiedy Romuald był już ulubieńcem Warszawy, a Antoś jako prowincjonalny „kiernoziak" odwiedzał bogatego przyjaciela w stolicy, spotkania ich bywały zawsze gęsto „zakrapiane". Po paru kolejkach Krowa niezmiennie zadawał pytanie:

— Romciu... A pamiętasz, kto cię wyleczył?

— Musowo! Ty, Antoś!

— A widzisz...

— No to... napijmy się... Pod te bańki! Niech żyje doktor Krowa!

Konrad Tom



— Czy, mając tak krótki ogon, nie przeziębiasz się nigdy?

TO i OWO

W W. Brytanii umiera rocznie 2 tys. matek przy porodzie, 35 tys. dzieci poniżej jednego roku, gruzlica zabiera każdego roku 28 tysięcy ofiar.

* * *

Strażnicy i naczelnicy więzień angielskich aż do XIX wieku, zamiast otrzymywać pensję — płacili za posadę. Na więźniach można było bardzo dobrze zarabiać. Pobierano od nich opłaty za przyjęcie do więzienia oraz za wypuszczenie na wolność. Żywność, pościel, światło i opał, wypożyczanie gier, dopuszczenie wizyt — wszystko to było słono płatne. Można też było, po uiszczeniu odpowiednio wysokich sum, otrzymać kilkugodzinną lub nawet kilkudniową przepustkę z więzienia, można było kupić dowolne ilości wina i likieru. Bogaci więźniowie bawili się dobrze, i nie uskarżali się na brak niczego — poza... wolnością.

* * *

W niektórych amerykańskich samochodach stosuje się urządzenie, które pozwala kierowcy kontrolować i uzupełniać ciśnienie powietrza w oponach bez wychodzenia z wozu.

* * *

Export wina z Francji do Algieru był przed wojną, że od r. 1935 zaczęto je transportować specjalnym statkiem-cysterną „Bachus", który ładowano i rozładowywano przy pomocy specjalnych pomp i rur.

* * *

Powierzchnia skóry człowieka wynosi przeciętnie od jednego do dwu metrów kwadratowych.

Powierzchnia płuc dochodzi do 90 metrów kwadratowych.

* * *

—Ludność obszarów polskich, zajętych przez Rosję w r. 1939 była trzykrotnie większa od ludności Szwajcarii, dwukrotnie większa od ludności Szwecji, półtorakrotnie większa od ludności Portugalii, Belgii, Holandii i Węgier.

* * *

W Stanach Zjednoczonych jest około 950 stacji radiowych. Dzienny program wszystkich tych radiostacji zawiera ok. 20.000.000 słów — mniej więcej tyle, ile 25 powieści średniej wielkości.

* * *

Lampy katodowe wyrabiane są w czterech tysiącach różnych gatunków. Drobna tylko ilość gatunków znajduje zastosowanie w aparatach radiowych.

Do budowy ich potrzeba 35 pierwiastków chemicznych.

Żaden inny produkt przemysłowy nie wymaga tak wielkiej ilości różnych pierwiastków.

* * *

Szwecja nie prowadziła żadnej wojny od r. 1814. Mimo to w Muzeum Wojskowym w Sztokholmie znajduje się największa na świecie kolekcja zdobytych na nieprzyjacielu sztandarów. Jest ich 2500.

* * *

Ludność Polski z 25 milionów w r. 1900 powiększyła się do 35 milionów w r. 1938. W tym samym czasie ludność Francji wzrosła z 41 na 42 miliony. W. Brytanii z 37 na 46 milionów, Niemiec z 56 na 79 mlionów, Stanów Zjednoczonych z 76 na 130, Brazylii z 17 na 43 miliony.

* * *

W ubiegłym roku zniknęło na Pacyfiku i Atlantyku 50 wysp, zalanych przez wody oceanu. 900 lat temu wyspa Helgoland na Morzu Północnym posiadała 1.000 km. kw. Obecnie liczy ona 2 km. długości i 600 m. szerokości, zatem po 9-ciu stuleciach została z niej zaledwie tysiączna jej część.

* * *

36 miliardów ton ziemi znalazło się w powietrzu w nocy z 26 na 27 sierpnia 1883 roku, kiedy to wybuchł wulkan Recata na wyspie Cracatoa, znajdującej się między Sumatrą a Jawą. Wyspa, która posiadała 33 km. kw., prawie zupełnie przestała istnieć.

* * *

Stany Zjednoczone eksportują środki żywnościowe, obuwie, ubranie, medykamenty, metale itp. Importować Ameryka będzie w roku bieżącym przede wszystkim... żony. 100 tysięcy kobiet poślubili żołnierze amerykańscy w czasie kampanii wojennej, w Azji, Afryce, Europie i na Pacyfiku. Obecnie nowo kreowane Amerykanki przewiezione zostaną do Stanów Zjednoczonych.

* * *

— Szkoła żon utworzona została niedawno w Rzymie, staraniem Amerykańskiego Czerwonego Krzyża, dla Włoszek, które obecnie nazywają się Smith, Robinson i Jones i w najbliższym czasie wyjeżdżają do Ameryki. Uczą się one angielskiego, gotowania według przepisów kuchni amerykańskiej, prowadzenia konwersacji i nawet bawienia się na sposób amerykański. Uczą się także prowadzić dom, brać udział w życiu politycznym, poznają historię i obyczaje St. Zjednoczonych, a nawet amerykański sposób trzymania widelca i noża.

Podobne szkoły żon otwarte zostały w Paryżu i Londynie —wszędzie gdzie znajdują się ci, którzy chcą zabrać ze sobą do kraju swoje europejskie żony.

MUZYCY W ANEGDOCIE

FRYDERYK CHOPIN

ur. 1810 w *Żelazowej Woli*
um. 1845 w Paryżu.

Gdy Chopin przyjechał do Paryża i dał pierwszy koncert nie miał najmniejszego powodzenia. Zrezygnowany, myślał czy by nie opuścić Europy i szukać szczęścia w Ameryce. Tego samego dnia spotkał go na ulicy książe Radziwiłł i zaprosił kompozytora do domu barona Rotschilda. Od tego właśnie przypadkowego zaproszenia datuje się początek sławy Chopina. Zagrał na przyjęciu u barona i odtąd cały Paryż począł szaleć za młodym kompozytorem.

Któregoś wieczoru w Nohant, w zamku znanej pisarki francuskiej George Sand, zebrało się sporo gości, między którymi znajdował się kompozytor węgierski Liszt. W pewnej chwili Liszt zasiadł do fortepianu i zaczął grać nokturn Chopina przeinaczając swoim zwyczajem brzmienie utworu, dodając różne wstawki od siebie. Wówczas Chopin podszedł do niego i powiedział :

— Mój drogi, czynisz mi wielki zaszczyt, grając mój utwór, ale błagam cię, graj go tak jak jest napisany, albo graj w ogóle coś innego. Wybacz, ale jest tylko jeden człowiek, który ma prawo zmieniać Chopina. Człowiekiem tym jest Chopin.

KLAUDIUSZ DEBUSSY

ur. 1862.
um. 1918.

Jeden z bardzo młodych i bardzo zarozumiałych poetów napisał libretto do opery i zaniósł je Debussyemu z prośbą o napisanie muzyki. Wręczając utwór kompozytorowi oświadczył :

— Mistrzu, ofiaruję panu połowę mojej sławy!

Debussy przeczytał kilka stronic i zwrócił utwór autorowi ze słowami : „Niech pan lepiej całą sławę zachowa dla siebie".

KAROL FRANC. GOUNOD

ur. 1818 w Paryżu
um. 1893 w Saint Cloud.

Pierwsze przedstawienie opery „Faust" skrytykowała ostro i prasa i publiczność niemiecka. Jeden z krytyków berlińskich pisał : „W poemacie dr Faust przedstawiony jest jako człowiek zmęczony i znudzony życiem. Specjalnie ta nuda została doskonale uwidoczniona w dziele pana Gounoda, ale taka dokładność kompozytorska jest zbyt niebezpieczna... dla widza".

Zapytano Gounoda, gdy miał lat 40, ile lat ma Faust w pierwszym akcie. Kompozytor odpowiedział :

— Mój Boże, normalny wiek starca : 60 lat.

Gdy zapytano o to samo Gounoda w 20 lat później, odpowiedział :

— Mój Boże normalny wiek starca : 80 lat.

JAN SEBASTIAN BACH

ur. 1685 *w Eisenach*
um. 1750 *w Lipsku.*

Wszystkie sprawy domowe wielkego muzyka załatwiane były przez jego żonę. Gdy umarła, w dniu pogrzebu przyniesiono zamówione dla Bacha czarne ubranie. Gdy kompozytor się przebierał, posłaniec stał u progu pokoju, wyraźnie na coś oczekuj c. W pewnej chwili Bach zapytał, na co czeka. Wówczas posłaniec odpowiedział:

— Na pieni dze.

— Proszę się zwrócić do mojej żony. Żona załatwia wszystkie moje rachunki — odpowiedział Jan Sebastian Bach

PIOTR CZAJKOWSKI

ur. 1840 *w Wołczyńsku*
um. 1893 *w Petersburgu.*

Czajkowski miał zamiar zostać prawnikiem. Gry na fortepianie zaczęto go uczyć, gdy miał lat 18. Jego nauczyciel muzyki oświadczył, że Czajkowski nie ma najmniejszych zdolności muzycznych. Do komponowania nakłon ł go jak ś dyletant muzyczny, który wmówił w Czajkowsk ego, że posiada wielki talent.

LUDWIK BEETHOVEN

ur. 1770 *w Boon*
um. 1827 *w Wiedniu.*

Jeden z uczniów Beethovena, Ludwik Cramolini, gdy został znanym śpiewakiem, zgłosił się do mistrza, pragnąc przedstawić mu swoją narzeczon . Beethoven poprosił go by coś zaśpiewał. Cramolini miał zamiar zacząć od Adelajdy Beethovena, ale trema nie pozwoliła mu wydobyć z siebie głosu.

Beethoven zapytał, dlaczego Cramolini nie śpiewa. Wówczas akompaniator Schindler wytłumaczył właściwy powód. Wielki kompozytor uśmiechnął się i powiedział:

— Ależ śpiewaj, śpiewaj drogi Cramolini, ja przecież i tak n c nie słyszę. Chciałem c ę tylko widzieć jak śpiewasz.

Jak wiadomo, Beethoven był głuchy.

GEORGE BIZET

ur. 1838 w Paryżu
um. 1875.

Słynna opera Bizeta „Carmen" po raz pierwszy wystawiona została w Paryżu 3 marca 1875 r. i natychmiast zdjęta z afisza. Krytyka fachowa niezwykle surowo oceniła nowe dzieło a dyrektor Opery Komicznej powiedział wprost, że Bizet nie ma pojęcia o muzyce.

W kilka mies ęcy potem Bizet umarł. Został sławnym dopiero w wiele lat po swojej śmierci.

JAN BRAHMS

ur. 1833 *w Hamburgu*
um. 1897 *w Wiedniu.*

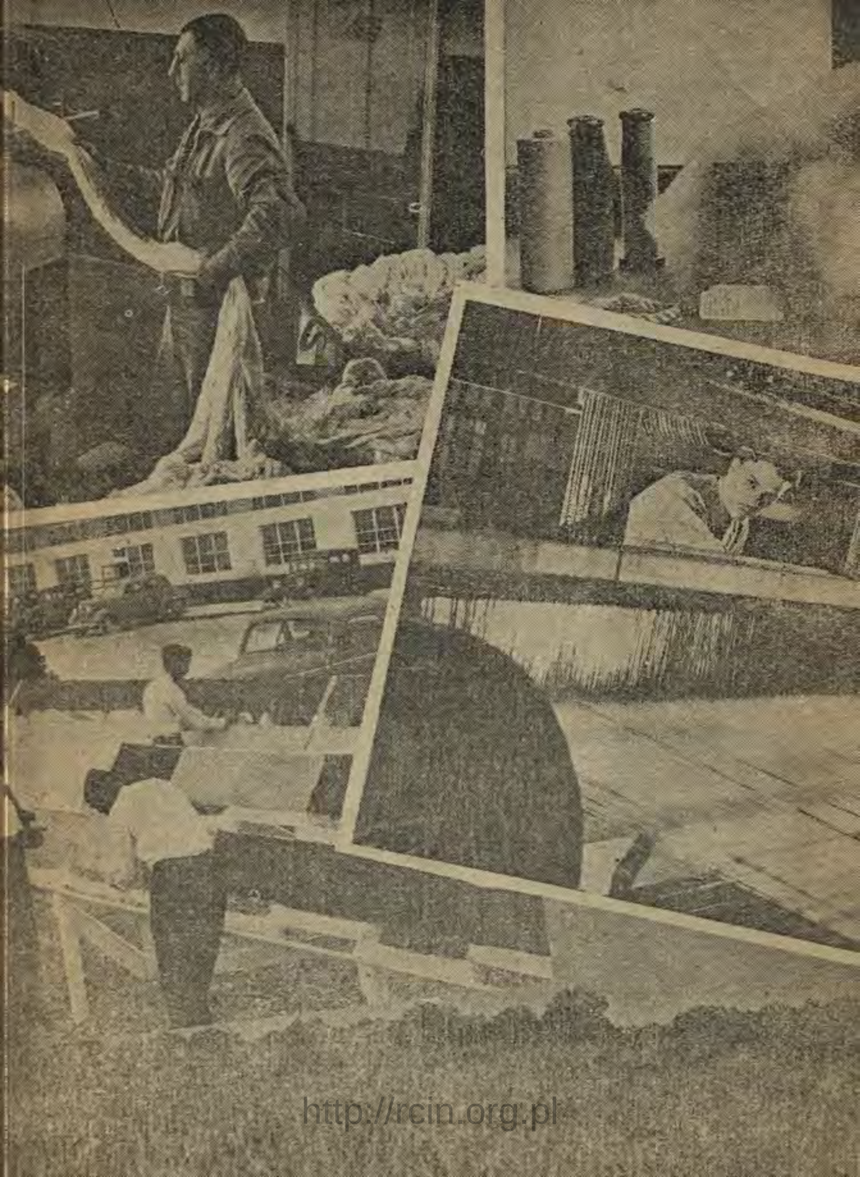
Któregoś dnia zapytano Brahmsa, jaki jest jego sąd o teatrze?

— Teatr jest loteri — odpowiedział Brahms. — Autor pisze jedno, aktorzy grają co innego, a w dz widzi znów co innego.

NOWOCZESNA ALCHEMIA

W czasach gdy wojna wciągnęła do swego zaprzęgu nie tylko masy żołnierzy, ale i mózgi uczonych, jej przede wszystkim celom służyły wszystkie wynalazki i odkrycia. Sensacja bomby atomowej przytłumiła wszystko, czego nauka w ostatnich latach zdołała dokonać. Jesteśmy już podobno niedalecy praktycznego użytkowania energii atomowej i przemiany jednego pierwiastka w drugi. Komunikaty zapowiadają puszczenie w ruch pierwszej lokomotywy „atomowej”. Uzyskanie w laboratorium najprawdziwszego złota jest może kwestią niezbyt dalekiej przyszłości. Jeśli pierwsze próby w tym kierunku nie dały oczekiwanych rezultatów — koszt wytwarzania złota z rtęci przekracza na razie jego wartość — to nie zapominajmy, że nauka ciągle postępuje naprzód. Cel średniowiecznych alchemików, poświęcających całe lata dla nie osiągalnej chimery złota wytworzonego z najpospolitszych substancji, cel wyśmiewany przez całe pokolenia, wydaje się dziś ani nie taki śmieszny, ani nie taki nie osiągalny.

Zresztą złoto przestało być już dziś takim magnesem, jak w ubiegłym jeszcze stuleciu, toteż „alchemik” dzisiejszy czyni poszukiwania znacznie rozleglejsze. Lata ostatnie dokonały odkrycia całych pokładów nowych surowców przemysłowych, które — od wieków znane, przez wieki uważane były za rzeczy nie użyteczne. Nauka zwróciła uwagę na najzwyklejsze odpadki, po które sięgnął z kolei przemysł, by przetwarzać je już dzisiaj w rzeczy powszechnego użytku. Komu by dawniej przyszło na myśl, że można coś pożytecznego zrobić np. z łodyg kukurydzy? W wielu krajach do dziś zużytkowuje się je po prostu na opał. Ale w Ameryce, gdzie kukurydzę uprawia się na olbrzymich obszarach a opału nie brak, robi się dziś ze słomy kukurydzianej — smacz-



ne kanapki do herbaty Jeden z uczonych podejmował kiedyś Forda podwieczorkiem, na którym dosłownie wszystkie podane potrawy spreparowane były nie w kuchni przez jego małżonkę, ale przez niego samego w laboratorium. Miejmy nadzieję, że były smaczniejsze, niż pasztet z soi, który nam wszystkim już się po trosze przyjadł, ale i soją nie gardźmy, bo to jedna z najpożyteczniejszych roślin.

Ziarno soi ma wysoką wartość odżywczą: daje więcej kalorii niż cielęcina, zawiera ponadto witaminy A, B, C, i G, a także rzadką witaminę K, tak ważną dla konstytucji krwi. Olej sojowy ma coraz szersze zastosowanie w kuchni i w przemyśle. Istnieją dziś najprzeróżniejsze potrawy przyrządzone z ziarna soi: sery, chleb, kawa, a nawet mleko. Wiele tych potraw znajduje się w racji żywnościowej żołnierza amerykańskiego.

Nie jeździliście jeszcze Fordem o karoserii wytworzonej z ziarna soi? Spróbujcie — samochody takie fabryka Forda wypuściła jeszcze przed wojną — a przekonacie się, że karoseria, zrobiona z substancji otrzymanej prawie w 100 % z ziarna soi, pod niejednym względem przewyższa karoserię metalową. Jest lżejsza — o 450 kg. od tego samego typu karoserii wykonanej ze stali. Nie zmienia barwy pod wpływem warunków atmosferycznych — nie trzeba jej w ogóle pokrywać farbą, gdyż masa plastyczna doskonale wchłania każdy barwnik i można ją wytwarzać w dowolnych kolorach. Nie wyszczerbia się, ani kruszy i przez cały czas zachowuje połysk. Fabryka Forda, ledwie przestawiła się z produkcji wojennej na pokojową, rozpoczęła masową produkcję samochodów o takiej właśnie karoserii. Gdyby kiedykolwiek miała się znowu przestawić z kolei na produkcję wojenną — i jeepy, i czołgi, a nawet samoloty może wytwarzać z masy plastycznej uzyskanej z soi.

Ale soja może służyć nie tylko do fabrykacji środków lokomocji. Z tego cennego ziarna można także wytwarzać materiały na odzież i dywany. Dzień, w którym jednemu z laboratoriów chemicznych udało się z soi uzyskać doskonałe włókno przypominające wełnę, stanowi prawie że przełom w dziejach przemysłu włókienniczego. Podstawą do wyrobu przędzy jest zawarta w ziarnie soi substancja, która znajduje się także w mleku, jajach i mięsie. Wyciągając ją z soi drogą specjalnej kąpieli chemicznej, uzyskuje się dowolnej długości nitki, które — po wysuszeniu — można wprost nawijać na szpulki. Przędza sojowa jest miękka, ciepła i trwała, a także — co stanowi jedną z największych jej zalet — b. tania.

Ta lista nie wyczerpuje jeszcze pożytków, jakie można mieć z soi. Roślina ta ma zastosowanie także w przemyśle chemicznym do wyrobu farb drukarskich, linoleum, materiałów impregnowanych oraz gumy syntetycznej. Nie mówiąc oczywiście o tym, że stanowi wartościowe pożywienie a także paszę dla bydła.

Przemysł zaczyna się coraz bardziej interesować produktami rolnymi. Okazać się może w niedalekiej przyszłości, że kraje rolnicze równie dobrze mogą rozwinąć swój przemysł, jak i kraje bogate w surowce kopalniane.

Aby zatrzymać się jeszcze chwilę na polu przemysłu włókienniczego dodać trzeba, że wełnę syntetyczną otrzymuje się także z produktów, które od wełny wydają się być jeszcze odleglejsze niż soja, a mianowicie: z białka jaj, z gałązek i miąższu ziaren bawełny, a także z odtłuszczonego mleka krowiego. W Polsce pierwsza fabryka ,,wełny mlecznej'' została założona na kilka lat przed wojną w Pabianicach pod Łodzią. W Stanach

Zjednoczonych produkuje się rocznie 45 tys. kwintali wełny mlecznej, przeznaczonej do wyrobu konfekcji. Wełna mleczna daje się doskonale barwić i łączy się łatwo z przędzą innego rodzaju, dzięki czemu otrzymywać można rozmaite mieszanki w zależności od przeznaczenia.

Z serwatki, którą u nas przeznacza się dla świń albo po prostu wylewa, uzyskać można sztuczną kość słoniową i gumę syntetyczną a także lakiery.

Bawełna jako surowiec przemysłowy znana jest każdemu. Lichsze gatunki koców, materiały na ubrania od dawna są z bawełny wyrabiane. Jak wiemy, bawełna jest najważniejszym produktem rolnym Ameryki. Wojna wpłynęła jeszcze na zwiększenie jej produkcji, gdyż bawełna miała szerokie zastosowanie w fabrykacji materiałów wybuchowych, plandek automobilowych i papieru. Z końcem wojny wyłoniła się kwestia, jak utrzymać stan produkcji, co wobec ograniczenia możliwości eksportu jest sprawą b. trudną. Uczeni robią najprzeróżniejsze próby z przędzą bawełnianą i obiecują, że niedługo będziemy jeździć autostradami wykonanymi z bawełny, a także mieszkać w „bawełnianych" domach. Już dziś studiuje się możliwości zastosowania przędzy bawełnianej jako materiału budowlanego. Z odpadków bawełnianych robi się materiał izolujący od wilgoci i hałasów. Z bawełny — z domieszką cementu — produkuje się dachówki zabezpieczające od ognia. Wytwarza się także specjalne tkaniny dla celów ogrodnictwa — w krajach które są ubogie w drzewa a mających zbytnie nasłonecznienie. A i to jeszcze nie wszystko. O ile dotychczas wykorzystywano jedynie przędzę bawełnianą, to dziś znaleziono sposoby użytkowania krzewu bawełnianego od korzeni po łupinki owoców.

I wreszcie trzecia roślina, która stanowi podstawowy surowiec dla wielu gałęzi przemysłu. Materiały wybuchowe, klej, atrament, tkanina do spadochronów, płótno namiotowe, bandaże i materiał na mundury — wydaje się, że nie ma granicy dla stosowania kukurydzy. A jeszcze: w garbarstwie, w produkcji wyrobów tytoniowych i środków leczniczych wszędzie zużytkowuje się dziś przetwory otrzymane z kukurydzy. Jeden z uczonych przewiduje stworzenie nowego typu paliwa — mieszanki benzyny ze spirytusem otrzymywanym z kukurydzy. Roślina ta jest także podstawą produkcji gumy syntetycznej, która stała się konieczna gdy inwazja japońska zamknęła dla Stanów Zjednoczonych dostęp do najgłówniejszych źródeł kauczuku. Gumę syntetyczną otrzymuje się także — o czym już wspominaliśmy — z soi. Dodać trzeba przy okazji, że najbogatszym źródłem gumy jest roślina szeroko uprawiana w Rosji t.zw. koksaghyz.

Ale nie tylko rośliny — także sama gleba znajduje dziś zastosowanie w przemyśle. Z pewnych szeroko występujących glinek otrzymuje się aluminium, z innych znowu lakier, puder i substancje barwnikowe. Dr. George Carver, który jest pionierem stosowania chemii w przemyśle, uzyskał ponad 200 produktów z pewnego gatunku orzechów. Uczony ten ze zwykłych wiórów drzewnych robi sztuczny marmur, z przędzy materiał do krycia podłóg, z nie użytecznych dotychczas łodyg roślinnych — zupę, marmeladę i pieczeń. W Ameryce gromadziło się rocznie ponad 200 milionów ton odpadków produktów rolnych, które okazały się skuteczniejszą kopalnią złota niż retorty średniowiecznych alchemików. Słoma, wygnieciona trawa ze starych kanap — w wielu dziedzinach zastępuje... metale. Robi się z nich kapsle do butelek, szklanki a nawet części pocisków armatnich.

Wybrakowanych liści tytoniowych używa się do wyrobu specjalnych tkanin, mydła, lakieru, środków przeciwko insektom oraz niektórych lekarstw. Opadłe za wcześnie jabłka, „robaczywki", służą do wyrobu pewnego rodzaju syropu, który w przemyśle zastępuje glicerynę. Zwykła pleśń ma zastosowanie przy fabrykacji penicyliny.

Rezultaty te osiągnięte zostały drogą wielu doświadczeń dokonywanych przez wielu uczonych. Cały zespół tych eksperymentów określa się mianem chemiurgii. Słowo to brzmi jeszcze bardziej tajemniczo niż alchemia, ale też i rezultaty osiągnięte przez chemiurgię są wartościowsze z punktu widzenia ich szerokiego stosowania i znacznie ciekawsze jako wyraz śmiałości odkrywczej ludzkiego umysłu. Najtrudniej przecież dostrzec coś użytecznego w tym, co przez wieki uznane było po prostu za śmiecie. Chemiurgia nie jest w ścisłym tego słowa znaczeniu nauką, jest to raczej praktyczne zastosowanie osiągnięć współczesnej chemii w technice. Chemiurgia istnieje nie dłużej jak 10 lat. Dopiero przed siedmiu laty rząd Stanów Zjednoczonych przeznaczył kredyty na budowę i wyposażenie czterech laboratoriów dla tego rodzaju poszukiwań, a już dziś osiągnięte rezultaty wyglądają wprost na bajkę. A przecież chemiurgowie dopiero rozpoczęli swe badania i próby. Dzięki chemiurgii sprawa surowców przemysłowych w niedalekiej przyszłości może ulec rewolucyjnej zmianie. Okazać się może, że kraje rolnicze nie są wcale upośledzone w stosunku do tych, które posiadają bogate złoża kopalniane. I że prawdziwe bogactwo znaleźć można nie tylko w głębokich warstwach ziemi, ale i na zwykłej miedzy pomiędzy zagonami zboża.

Wacław Kowalski

PRZEGLĄD SPOŁECZNO-GOSPODARCZY

700.000 robotników fagrycznych strajkuje w Stanach Zjednoczonych. W Buenos Ayres strajkowali pacownicy handlowi, w Valparaiso i Santiago piekarze.

*** Jedno na pęć małżeństw w W. Brytanii rozwodzi się. Wiadomość ta podana została przez Brytyjskie Biuro Porad Małżeńskich.

*** Prasa donosi, że w czasie obecnej zimy wielu ludzi umrze w Europie z głodu.

*** 10.000 św ń — 20 milionów kg. szynki i kiełbas — zmarnowanych zostało w Danii, z braku paszy, oraz z powodu trudności transportowych.

*** 10 mil. hektolitrów wina może otrzymać Europa, jeżeli znajdą sę statki dla przewiezienia go z Algieru.

*** UNRRA dostarczy Włochom pomocy na sumę 450 milionów dolarów. Dostawy obejmą m. in. 18 mil. kwintali zboża, 820 tys. kwintali cukru, kawę tłuszcze, i.t.p. Szpitalom włoskim dostarczone zostaną medykamenty.

*** Co uczynią Włochy bez węgla? Na Sycylii z braku węgla stanęły poci gi. Na północy z tego samego powodu nie zdołano uruchomić szeregu fabryk. Olbrzymi transport węgla, który niedawno przybył do Genui, nie został wyładowany z powodu strajku robotników. Dla wyładowania statki zostały skierowane do... Marsylii.

*** Zabrane Niemcom przez wojska alianckie we Włoszech konie i muły wypożyczane zostały w prowincji Venezia Giulia wieśniakom. Wieśniacy zobowiązali się je utrzymywać i na żądanie władz alianckich zwrócić natychmiast.

*** Minister spraw wewnętrznych USA Ickes oświadczył, że rozpoczęto już poszukiwanie złóż ropy naftowej na dnie oceanów.

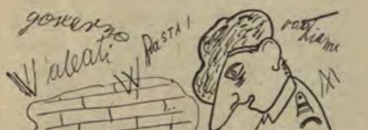
*** Producenci filmowi W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych zamierzają zmonopolizować w swych rękach cał produkcję filmow świata.

*** Budżet miasta Paryża na rok bieżący wynosi 9 miliardów 809 milionów franków. Rok ubiegły zamknęty został deficytem, wynoszącym 2 miliardy franków.

*** Parlament fiński uchwalił upaństwowienie banków.

*** Rząd Czechosłowacji upaństwowił 10.000 zakładów przemysłowych, w których pracuje łacznie milion robotników. Również i zakłady „Skody" zostały znacjonalizowanę. Czeski minister handlu oświadczył że francuscy właściciele akcji „Skody" nie otrzymaj odszkodowania.





— *Ten obraz kupił Amerykanin!*



Stoik przed witryną



Trafiła kosa na kamień, czyli
Przygody sierż. Orzeszki i strz. Weszki u fotografa

REPORTAŻ Z MECZU

Szanowny Panie Redaktorze! Chcąc zaspokoić choć częściowo me ambicje zostania wielkim korespondentem „Małej Kroniki", przysyłam pierwsze swe sprawozdanie sportowe, z meczu piłkarskiego.

Pewnego popołudnia odbył się mecz piłki nożnej między jakimiś dwiema drużynami. Zebrana na miejscowym stadionie publiczność, w ilości nie przekraczającej liczby osób przybyłych na boisko, wypełniła szczelnie zajęte przez siebie miejsca. Jeżeli chodzi o przebieg pierwszej połowy meczu, jak też i początku drugiej, to, niestety, ze względu na to, że przy wejściu żądano okazania nie przedartego biletu, nie będę mógł go opisać. Sprawozdanie swoje zacznę więc od chwili, gdy pod koniec drugiej połowy wpuszczono mnie za darmo na stadion.

Otóż jak się natychmiast zorientowałem, grali jedni z drugimi. Sądząc po tym co zauważyłem, przewaga była raz po stronie tych, raz po stronie tamtych, zależnie od tego kto się znajdował



Przeciwnicy murują bramkę...

pod czyją bramką. Wnioskując po ilości znajdujących się jeszcze na boisku graczy, których w sumie było piętnastu, dotychczasowa gra była szybka, ostra, lecz nie brutalna

Jeżeli zaś chodzi o graczy tamtych, to lepsi byli w polu, ci zaś... na boisku. Na wyróżnienie zasługuje świetnie zapowiadający się przez „grajszafę" bramkarz. Wyróżniał się on przede wszystkim odmiennym strojem, wzrostem i w ogóle był jakiś bardziej elegancki od reszty swej drużyny, po której widać było, że się cała zgrała. Zgrać się zaś musiała nie tylko z pieniędzy, ale — sądząc po wyniszczonych kompletach — także i ze sprzętu.

A teraz podam przebieg gry w ostatnich minutach meczu. Otóż w tej chwili tamci strzelają wolnego. Przeciwnicy murują bramkę...

Piłka odbija się od jednego z nich i leci do góry... Skacze do niej trzech graczy... Dwuch już pada, jeden jeszcze przebywa w powietrzu... W tej chwili oddaje na bramkę ostry, jak zakręt pod Recanati, strzał... Krytyczna chwila pod bramką... Ciężki moment dla bramkarza...

Ostry strzał napastnika odbija się o jego twarz. Trzy zęby wypadają na ziemię, reszta jescze zostaje... Publiczność bije brawo. Ach ten bramkarz... Doprawdy, jaki on dzielny i fenomenalny.



...jaki on dzielny i fenomenalny!



Podobno to już trzeci...

Znów mu się piłka odbiła o brzuch. Gdyby nie miał tego brzucha, kto wie czy nie padłaby teraz bramka... O piłkę w tej chwili znów walczy atak z obrońcami...

Na szczęście lewy obrońca wyjaśnił sytuację, potężnym wykopem posyłając piłkę w pole, a znajdującego się przy niej napastnika do szpitala polowego. Podobno to już trzeci... Zresztą prócz tego, że lewy obrońca śmiało idzie na gracza, pierwszorzędnie także spełnia swoje zadanie, trzymając prawoskrzydłowego.

Gdy już wyróżniam graczy, to doprawdy nie sposób pominąć tu pewnego blondyna. Jest to gracz bardzo szybki i pracuje dla swej drużyny jak wół... Wszędzie go widać. Przed chwilą na przykład widziałem, jak ręcznie tumaczył któremuś z kibiców, że rzucanymi kamieniami daje dowód małej kultury sportowej. Teraz znów targuje się o coś z arbitrem... Lecz pomijając wszystko, gra on naprawdę głową...

W tej chwili sędzia posłał na trybunę liniowego po dokładny czas. Gracze na chwilę z nie ustalonych powodów przerwali grę... Lecz wkrótce, po nieskończenie długich dyskusjach, natychmiast ustawili się na swoich pozycjach. I znów, proszę państwa, pomoc tamtych pcha atak do przodu... To znowu sytuacja tych jest poważna. Na szczęście obrońcy ich zrobili zaporę nie do przebicia, tak że — dobry w polu — atak tamtych potracił zupełnie głowy. W tej chwili wrócił sędzia z dokładnym czasem. Okazuje się, że już czternaście minut, dwie i siedem dziesiątych sekundy temu



...gra on naprawdę głową.

powinien się mecz zakończyć. W związku z zakończeniem działań piłkarskich wybuchł na widowni niekłamany entuzjazm... W zwi zku z tym, proszę państwa, muszę uciekać, gdyż entuzjazm jest naprawdę szalony i wciąż jeszcze przybiera na sile...

Jeżeli chodzi o wynik, jest on o tyle nieważny, że w żadnym wypadku nie odpowiada faktycznemu przebiegowi spotkania. Mecz, który zaszczycił swą obecnością sędzia, prowadził dobrze pan pułkownik.

Andrzej Haleda

Humor sportowy

„W związku z grożącą panu rozprawą sądową prosi pan o przydzielenie panu obrońców z naszej drużyny piłkarskiej. Niestety, muszę panu odmówić: obrońcy nasi to co innego niż obrońcy sądowi. A jeśli już nawet wiąże ich coś z sądem, to najwyżej to samo, co obecnie pana."

ZE ŚWIATA SPORTU

BOKS

W najbliższym czasie zjeżdża do Europy 12 czołowych pięściarzy amerykańskich, którzy spotkają się z najlepszymi zawodnikami W. Brytanii i Francji — w kilku wypadkach o tytuły mistrzów świata. M. in. spodziewane jest spotkanie mistrza świata wagi piórkowej Williee Pep z Francuzem Famechon oraz mistrza świata wagi koguciej Manuela Ortiz z Francuzem Medina.

Jeden ze znanych organizatorów boksu zawodowego w Stanach Zjednoczonych zaofiarował 5 milionów dolarów Joe Louisowi i Billy Connowi za ich spotkanie o tytuł mistrza wszystkich wag. Oferta nie mogła być przyjęta, gdyż spotkanie to już organizuje znany impresario Joe Jacobs. Spotkanie odbędzie się latem bież. roku.

Po spotkaniu o tytuł mistrza świata z Billy Connem — Joe Louis przyjedzie do Europy na dwa spotkania pokazowe w Kopenhadze i Sztokholmie. W Szwajcarii Louis spotka się prawdopodobnie z amatorskim mistrzem świata Tandbergiem. Ostatni wygrał niedawno przez k. o. w ósmym starciu z mistrzem Szkocji Porterem, kładąc go uprzednio 18 razy na deski.

DAVIES CUP

W końcu stycznia odbędzie się losowanie do tegorocznych rozgrywek tennisowych o puchar Daviesa Tradycyjne te rozgrywki międzynarodowe, które są właściwie drużynowymi mistrzostwami świata w tennisie, ostatni raz zostały przeprowadzone w roku 1939 i wygrane były przez Australię. Jak wiadomo, spotkanie międzypaństwowe odbywa się systemem pucharowym, tj. drużyna przegrywająca odpada od dalszych rozgrywek. Drużyna składa się z dwu singlistów, którzy grają po dwa razy, oraz z jednej pary graczy, która rozgrywa jedno spotkanie w grze podwójnej. Rozgrywki odbywają się w dwu strefach, w tak zw. amerykańskiej i europejskiej. Jak dotychczas w strefie amerykańskiej zostały zgłoszone zaledwie cztery drużyny t. j. Stanów Zjednoczonych, Meksyku, Kanady i Filipin W strefie europejskiej zgłoszenia wpływają jeszcze, ale i tu ilość ich nie zapowiada się zbyt obficie.

Na oficjalnej liście najlepszych tennisistów Stanów Zjednoczonych na pierwszym miejscu figuruje sierż. Frank Parker, na liście żeńskiej Sarah Palfrey Cooke.

Mistrzostwo Francji na kortach krytych wygrał Destremesu wygrając w finale z Feretem.

LEKKA ATLETYKA

Mistrzostwa Europy w lekkiej atletyce odbędą się w tym roku w Oslo. Po mistrzostwach odbędzie się Kongres Międzynarodowego Związku Lekkiej Atletyki, na którym mają być ustalone decydująco zasadnicze sprawy amatorstwa i zawodostwa. Spodziewane jest ustąpienie wieloletniego i zasłużonego prezesa Związku Międzynarodowego — Szweda Eklunda.

Lekka atletyka szwedzka, która w czasie wojny poczyniła duże postępy i dzięki swemu mistrzowi Gunnar Haeggowi wysunęła się na czołowe miejsce, przeżywa obecnie właśnie dzięki Eklundowi i swym mistrzom — poważny kryzys. Dyskwalifikacja Haegga i najlepszych lekkoatletów za przekroczenie zasad amatorskich, oraz nieprzejednane w tej sprawie stanowisko prezesa Federacji Eklunda postawiła całe społeczeństwo szwedzkie na nogi. Słynny Instytut Gallupa ogłosił referendum w celu wysondowania opinii publicznej, czy lekkoatleci winni są przekroczenia zasad amatorskich, czy też nie. Nie do wiary wprost, lecz prawdziwe: wypowiedziało się 60 % obywateli Szwecji, 33 % głosów broni zdyskwalifikowanych sportowców, 27 % potępia ich. Odezwał się w tej sprawie głos starego mistrza fińskiego Paavo Nurmiego, który oświadczył, że nie ma w ogóle sportowców bez plamy. A Szwecja stoi przed mistrzostwami Europy i spotkaniem z drużyną Stanów Zjednoczonych, która na wiosnę zjedzie do Europy.

Gunnar Haegg stracił nieco na swej popularności po ostatnich startach w St. Zjednoczonych, gdzie został pobity przez Amerykanina Rafferti, a ostatnio przez nowego szwedzkiego asa średnich dystansów, który jest obecnie uważany za najlepszego ,,milera" świata. Należy więc przewidywać, że zdyskwalifikowani atleci szwedzcy w przyszłym sezonie w amatorskich imprezach udziału nie wezmą.

Wł.

— Pierwszy mecz międzynarodowy piłki nożnej między drużynami włoską i francuską, odbędzie się w styczniu w Nicei. Spotkają się Pro Vercelli i Olimpique.

— Tradycyjne zawody wioślarskie Cambridge-Oxford odbędą się 6 lipca b. r.

Służbista



— *Panowie, proszę nie zapominać, że wychylanie się z okien jest surowo wzbronione!*

W zakładzie kosmetycznym



— *Cierpliwości! Proszę pamiętać, że natura potrzebowała aż 40-tu lat, żeby doprowadzić panią do takiego wyglądu.*

Drobne ogłoszenia

Jąkam się codziennie od czwartej do szóstej. Dla pań we wtorki. Ancona — dozorca wskaże.

Potrzebny natychmiast chłopiec do podlewania sztucznych kwiatów, może być mańkut. (Oferty pod „Miłośniczka przyrody martwej").

Ubrania, płaszcze, bieliznę damską, męską i dziecinną niszczę bezwzględnie. Niezamożnym ustępstwa. Rzym, Piazza Colonna (w głębi).

10.000 *lirów* wypłacę gotówką panu (i), który (a) mi przypomni, jak się nazywała moja przedostatnia kochanka (Zgłoszenia pod „Eremita").

Dałbym, żebym mógł, ale nie mogę. Łaskawe oferty pod „A Golec".

Ciągam tam i z powrotem. Odwrotnie o 50% drożej. Telefon 3 zera, 2 zera, 1 zero.

Kupię zaraz, płacę gotówką, 10 hektarów nierogacizny. (Oferty pod „Rolnik").

Ryby morskie, świeże, dobrze przyrządzone i niedrogie-jadam dosyć chętnie. (Oferty pod „Jarosz").

Każdemu kto zechce, bezpłatnie podam rękę. Zgłoszenia pod „Optymista".



— Zastanów się mamo! Ojciec obiecał nie nazywać cię więcej jędzą, jeśli mu odstąpisz swój przydział papierosów.

Treść numeru:

Wyd.: Oddział Kultury i Prasy 2. Polskiego Korpusu
Adres Redakcji i Administracji: Polforces, CMF 62
Odbito w Drukarni Polowej 2. Polskiego Korpusu



Zatańczyłbyś ze mną?..


C31